

The Project Gutenberg EBook of Sklepy cynamonowe, by Bruno Schulz

Copyright laws are changing all over the world. Be sure to check the copyright laws for your country before downloading or redistributing this or any other Project Gutenberg eBook.

This header should be the first thing seen when viewing this Project Gutenberg file. Please do not remove it. Do not change or edit the header without written permission.

Please read the "legal small print," and other information about the eBook and Project Gutenberg at the bottom of this file. Included is important information about your specific rights and restrictions in how the file may be used. You can also find out about how to make a donation to Project Gutenberg, and how to get involved.

****Welcome To The World of Free Plain Vanilla Electronic Texts****

****eBooks Readable By Both Humans and By Computers, Since 1971****

*******These eBooks Were Prepared By Thousands of Volunteers!*******

Title: Sklepy cynamonowe

Author: Bruno Schulz

Release Date: May, 2005 [EBook #8119]
[Yes, we are more than one year ahead of schedule]
[This file was first posted on June 16, 2003]

Edition: 10

Language: Polish

Character set encoding: Codepage 1250

***** START OF THE PROJECT GUTENBERG EBOOK SKLEPY CYNAMONOWE *****

Produced by Pawel Sobkowiak--Scanned and proofread by
Polska Biblioteka Internetowa

BRUNO SCHULZ SKLEPY CYNAMONOWE

Spis tresci:

SIERPIEŃ
NAWIEDZENIE PTAKI MANEKINY TRAKTAT O MANEKINACH ALBO WTORA
KSIĘGA RODZAJU TRAKTAT O MANEKINACH Ciąg dalszy TRAKTAT O MANEKINACH
Dokończenie NEMROD PAN PAN KAROL SKLEPY CYNAMONOWE ULICA KROKODYLI
KARAKONY WICHURA NOC WIELKIEGO SEZONU

SIERPIEŃ

1 W lipcu ojciec mój wyjeżdża do wód i zostawia mnie z matką, i starszym bratem na pastwisku białych od żaru i oszołami, cych dni letnich. Wertowali my, odurzeni wiatrem, w tej wielkiej księdze wakacji, której wszystkie karty pały od blasku i miały na dnie siodki do omdlenia mi, sz zgotych gruszek. Adela wracała w wietliste poranki, jak Pomona z ognia dnia rozżagwionego, wysypując z koszyka barwny, urodzony sroca-- lni, ce, pełne wody pod przejrzysty, skórki, czere nie, tajemnicze, czarne wi nie, których woś przekraczała to, co ziszczało się w smaku; morele, w których mi, szu zgotym był rdz dęgich popołudni; a obok tej czystej poezji owoców wyładowywała nabrzmiała siła, i pożywno ci, pętał mięsa z klawiatury, żeber cielęcych, wodorosty jarzyn, niby zabite głowonogi i meduzy--surowy materiał obiadu o smaku jeszcze nie uformowanym i jałowym, wegetatywne i telluryczne ingrediencje obiadu o zapachu dzikim i polnym. Przez ciemne mieszkanie na pierwszym piętrze kamienicy w rynku przechodziło co dzieje na wskroś całe wielkie lato: cisza drgających sfojów powietrznych, kwadraty blasku ni, ce żarliwy swój sen na podłodze; melodia katarynki, dobyta z najgłębszej zgoty dnia; dwa, trzy takty refrenu, granego gdzie na fortepianie, wci, ż na nowo, mdlej, ce w sfoecu na białych trotuarach, zagubione w ogniu dnia gębokiego. Po sprzaniu Adela zapuszczała ciebie na pokoje, zasuwał, c pęcienne story. Wtedy barwy schodziły o oktawę gębiej, pokój napełniał się cieniem, jakby pogr, żony w wiatro gębi morskiej, jeszcze mętniej odbity w zielonych zwierciadłach, a cały upał dnia oddychał na storach, lekko falujących od marzeń południowej godziny. W sobotnie popołudnia wychodziłem z matką, na spacer. Z półmroku sieni wstępowało się od razu w sfoeczny, k, piel dnia. Przechodnie, brodz, c w zfoocie, mieli oczy zmrzone od żaru, jakby zalepione miodem, a podci, gnięta górna warga odsłaniała im dzi, sła i zęby. I wszyscy brodz, cy w tym dniu zfoocistym mieli ów grymas skwaru, jak gdyby sfoecie nałożono swym wyznawcom jedn, i tce sam, maskę--zgot, maskę bractwa sfoecznego; i wszyscy, którzy szli dzi ulicami, spotykali się, mijali, starcy i młodzi, dzieci i kobiety, pozdrawiali się w przejęciu t, mask, namalowan, grub, zgot, farb, na twarzy, szczyrzyli do siebie ten grymas bakchiczny--barbarzyński, maskę kultu pogańskiego. Rynek był pusty i żółty od żaru, wymieciony z kurzu gor, cymi wiatrami, jak biblijna pustynia. Cierniste akacje, wyrosłe z pustki żółtego placu, kipiały nad nim jasnym listowiem, bukietami szlachetnie uczętkowanych filigranów zielonych, jak drzewa na starych gobelinach. Zdawało się, że te drzewa afektują, wicher, wzburzają, c teatralnie swe korony, a żeby w patetycznych przejęciach ukazać wytworność achlarzy listnych o srebrzystym podbrzuszu, jak futra szlachetnych lisic. Stare domy, polerowane wiatrami wielu dni, zabawiały się refleksami wielkiej atmosfery, echemi, wspomnieniami barw,

rozproszonymi w gębi kolorowej pogody. Zdawało się, że całe generacje dni letnich (jak cierpliwi sztukatorzy, objijający stare fasady z pleśni tynku) obciążowały kamienicę, glazurę, wydobywając z dnia na dzień wyraźniej prawdziwe oblicze domów, fizjonomię losu i życia, które formowało je od wewnątrz. Teraz okna, o lepione blaskiem pustego placu, spały; balkony wyznawały niebu swobodę; otwarte sienie pachniały chłodem i winem. Kupka obdartusów, ocalała w kącie rynku przed płomiennymi, miotłami, upała, oblegała kawałek muru, do wiadczy, co go wciągnęło na nowo rzutami guzików i monet, jak gdyby z horoskopu tych metalowych kręćków odczytano na było prawdziwym, tajemniczym muru, porysowanego hieroglifami rys i pieknie. Zresztą, rynek był pusty. Oczekiwało się, że przed tym sieć sklepioną, z beczkami winiarza podjedzie w cieniu chwiejących się akacji osiołek Samarytanina, prowadzony za uzdę, a dwóch pachocików zwlecząc troskliwie chorego mężczyznę z rozpalonego siodła, a żeby go po chłodnych schodach wnieść ostrożnie na pachnące szabasem piętro. Tak wędrowali my z matką, przez dwie słoneczne strony rynku, wzdłuż nasze zamknięte cienie po wszystkich domach, jak po klawiszach. Kwadraty bruku miały powoli pod naszymi ciężkimi i płaskimi krokami – jedno bladoniebieskie jak skóra ludzka, inne żółte i szare, wszystkie płaskie, ciepłe, aksamitne na stopach, jak jakieś twarze słoneczne, zdeptane stopami a nie do niepoznaki, do błogiej nico ci. Aż wreszcie na rogu ulicy Stryjskiej weszliśmy w cienie apteki. Wielka bania z sokiem malinowym w szerokim oknie aptecznym symbolizowała chęć balsamów, którym każde cierpienie mogło się tam ukoić. Po paru jeszcze domach ulica nie mogła już utrzymać nadal decorum miasta, jak chłop, który wracając do wsi rodzimej, rozdziewa się po drodze z miejskiej swej elegancji, zamieniając się powoli, w miarę zbliżania do wsi, w obdartusa wiejskiego. Przedmiejskie domki toniły wraz z oknami, zapadnięte w bujnym i zagmatwanym kwitnieniu małych ogródków. Zapomniane przez wielki dzień, pleniły się bujnie i cicho wszelkie zieleń, kwiaty i chwasty, rade z tej pauzy, którą, przez nie mogły za marginesem czasu, na rubieżach nieskończonego dnia. Ogromny słonecznik, wydignięty na potężnej łodydze i chory na elephantiasis, czekał w cieniu ostatnich, smutnych dni żywota, uginając się pod przerostem potwornej korpulencji. Ale naiwne przedmiejskie dzwonki i perkalikowe, niewybredne kwiatuszki stały bezradne w swych nakroczmalonych, różowych i białych koszulkach, bez zrozumienia dla wielkiej tragedii słonecznika.

2 Słonecznik, gęszcz traw, chwastów, zielska i bodiaków buzuje w ogniu popołudnia. Huczy rojowiskiem much popołudniowa drzemka ogrodu. Żółte ciernisko krzyczy w stopach, jak ruda szarańcza; w rzęsiwym deszczu ognia wrzeszczą, wierszcze; strąki nasion eksplodują, cicho, jak koniki polne. A ku parkanowi kołuch traw podnosi się wypukłym garbem-pagórem, jak gdyby ogród obrócił się w niego na drugą stronę i grube jego, chłopskie bary oddychają, ciszą, ziemi. Na tych barach ogrodu niechlujna, babska bujność sierpnia wyolbrzymiała w gęstych zapadliskach ogromnych łopuchów, rozpanoszyła się płatami włochatych blach listnych, wybujałymi ozorami miściszej zieleni. Tam te wyłupiaste pałuby łopuchów wybałuszyły się jak babska szeroko rozsiadła, na wpół połamane przez własne oszalałe spłódnice. Tam sprzedawał ogród za darmo najtańsze krupy dzikiego bzu, mierzwi, mydłem, grubą kaszę babek, dziką okowitę miętę i wszelką, najgorszą, tandetę sierpniową. Ale po drugiej stronie parkanu, za tym matecznikiem lata, w którym rozrosła się gęstota zidociających chwastów,

było mietnisko zarosło dziko bodiakami. Nikt nie wiedział, że tam wsta nie odprawiał sierpień tego lata swój, wielki, pogański, orgi. Na tym mietniku, oparte o parkan i zaro nicie dzikim bzem, stało żółko skretyniającej dziewczyny Tui. Tak nazywali my ją, wszyscy. Na kupie mieci i odpadków, starych garnków, pantofli, rumowiska i gruzu stało zielono pomalowane żółko, podparte zamiast braku,cej nogi dwiema starymi cegłami. Powietrze nad tym rumowiskiem, zdziczałe od żaru, ciete bęyskawicami i nicych much końskich, rozw cieczonych sfoæcem, trzeszczało jak od nie widzianych grzechotek, podniecaj,c do szału. Tuija siedzi przykucniceta w ról żółtej po cieli i szmat. Wielka jej głowa jeży sie wiechciem czarnych włosów. Twarz jej jest kurczliwa jak miech harmonii. Co chwila grymas pęcazu składa tce harmonie w tyś,c poprzecznych fałd, a zdziwienie rozci,ga ją, z powrotem, wygładza fałdy, odsłania szparki drobnych oczu i wilgotne dzi,sta z żółtymi zebami pod ryjowat,, miEsist,, warg,,. Mijaj,, godziny pełne żaru i nudy, podczas których Tuija gawrzy półgłosem, drzemie, zrzędzi z cicha i chrz,,ka. Muchy obsiadaj,, nieruchom,, gcestym rojem. Ale z nagła ta cała kupa brudnych gałganów, szmat i strzępów zaczyna poruszaćsi, jakby ozywiona chrobotem lcegn,,cych sie w niej szczurów. Muchy budz,, sie spłoszone i podnosz,, wielkim, hucz,,cym rojem, pełnym w ciekłego bzykania, bęysków i migotaæ. I podczas gdy gałgany zsypuj,, sie na ziemi, i rozbiegaj,, po mietniku jak spłoszone szczury, wygrzebuje sie z nich, odwija z wolna j,,dro, wyłuszcza sie rdzeæ mietniska: na wół naga i ciemna kretynka d wiga sie powoli i staje, podobna do bołka pogańskiego, na krótkich dziecinnych nógkach, a z napęczniającej napływem zto ci szyi, z poczerwieniającej, ciemniej,,cej od gniewu twarzy, na której jak malowidła barbarzyńskie wykwitaj,, arabeski nabrzmiających żył, wyrwa sie wrzask zwiercey, wrzask chrapliwy, dobyty ze wszystkich bronchij i pischczatek tej półzwiercey-półboskiej piersi. Bodiaki, spalone sfoæcem, krzycz,, puchy puchn,, i pyszni, sie bezwstydnym miEsem, chwasty lini,, sie bęyszcz,,cym jadem, a kretynka, ochrypła od krzyku, w konwulsji dzikiej uderza miEsistym fonem z w ciekł,, zapalczywo ci,, w pieæ bzu dzikiego, który skrzypi cicho pod natarczywo ci,, tej rozpustnej chuci, zaklinany całym tym ncedzarskim chodem do wynaturzonej, pogańskiej podo ci. Matka Tui wynajmuje sie gospodyniom do szorowania podłóg. Jest to mała, żółta jak szafran kobieta i szafranem zaprawia też podłogi, jodłowe stoły, ławy i szlabany, które w izbach ubogich ludzi zmywa. Raz zaprowadziła mnie Adela do domu tej starej Mary ki. Była wczesna poranna godzina, weszli my do małej izby niebiesko bielonej, z ubit,, polep,, glinian,, na podłodze, na której leżało wczesne sfoæce, jaskrawożółte w tej ciszy porannej, odmierzanej przera liwym szczekiem chłopskiego zegara na cianie. W skrzyni na śtomie leżała głupia Mary ka, blada jak opłatek i cicha jak rcekawiczka, z której wysunęła sie dłoæ. I jakby korzystaj,,c z jej snu, gadała cisza, żółta, jaskrawa, zła cisza, monologowała, kłóciła sie, wygadywała gło no i ordynarnie swó maniacki monolog. Czas Mary ki - czas wiedziony w jej duszy, wyst,,pił z niej straszliwie rzeczywisty i szedł samopas przez izbce, hała liwy, hucz,,cy, piekielny, rosn,,cy w jaskrawym milczeniu poranka z gło nego młyn-zegara, jak zła m,,ka, sypka m,,ka, głupia m,,ka wariatów.

3 W jednym z tych domków, otoczonym sztachetami br,,zowej barwy, ton,,cym w bujnej zieleni ogródka, mieszkała ciotka Agata. Wchodz,,c do niej, mijali my w ogrodzie kolorowe szklane kule, tkwi,,ce na tyczkach, ról owe,

zielone i fioletowe, w których zakłóte były całe wietlane i jasne wiaty, jak te idealne i szczerze liwe obrazy zamknięte w niedościgłej doskonałości baniek mydlanych. W półciemnej sieni ze starymi oleodrukami, połączonymi przez pleśń i o lepszym od starożytności, odnajdowali my znany nam zapach. W tej zaufanej starej woni mieściło się w dziwnie prostej syntezie życie tych ludzi, alembik rasy, gatunek krwi i sekret ich losu, zawarty niedostrzegalnie w codziennym mijaniu ich własnego, odrębnego czasu. Stare, drewniane drzwi, których ciemne westchnienia wpuszczają i wypuszczają tych ludzi, milczący wiadkowie wchodzenia i wychodzenia matki, córek i synów--otworzyły się bezgłośnie jak odrzwia szafy i weszli my w ich życie. Siedzieli jakby w cieniu swego losu i nie bronili się--w pierwszych niezręcznych gestach wydalim swój, tajemniczy. Czyż nie byli my krwi, i losem spokrewnieni z nimi? Pokój był ciemny i aksamitny od granatowych obić złotym deseniem, lecz echo dnia płomiennego drgało i tutaj jeszcze miodem na ramach obrazów, na klamkach i listwach złotych, choć przepuszczone przez gęstą, zieloną ogród. Spod ciany podniosła się ciotka Agata, wielka i bujna, o miętach okrzepłym i białym, centkowanym rudym, rdzonym, piegowym. Przsiedli my się do nich, jakby na brzegie ich losu, zawstydzeni trochę, bezbronnie ci, z jak, wydali się nam bez zastrzeżenia, i pili my wodę z sokiem różanym, napój przedziwny, w którym znalazłem jakby najgłębszą, esencję tej upalnej soboty. Ciotka narzekała. Był to zasadniczy ton jej rozmów, głos tego miętosa białego i płodnego, bujającego już jakby poza granicami osoby, zaledwie lu nie utrzymywanej w skupieniu, w widokach formy indywidualnej, i nawet w tym skupieniu już zwielokrotnionej, gotowej rozpaść się, rozgałęzić i rozsypaną rodzinie. Była to płodna niemal samoródcza, kobieco pozbawiona hamulców i chorobliwie wybujała. Zdawała się, że sam aromat męsko ci, zapach dymu tytoniowego, dowcip kawalerski mógł dać impuls tej zaognionej kobieco ci do rozpustnego dzieworóztwa. I była ciwie wszystkie jej skargi na męża, na sędzię, jej troski o dzieci były tylko kaprysem i daniem się nie zaspokojonej płodno ci, dalszym cięciem tej opryskliwej, gniewnej i płacziwej kokieterii, którą nadaremnie do wiadczała męża. Wuj Marek, mały, zgarbiony, o twarzy wyjątkowej z płci, siedział w swym szarym bankructwie, pogodzony z losem, w cieniu bezgranicznej pogardy, w którym zdawał się wypoczywać w jego szarych oczach tlił się daleki żar ogrodu, rozpięty w oknie. Czasem próbował słabym ruchem robić jakie zastrzeżenia, stawiając, ale fala samowystarczalnej kobieco ci odrzucała na bok ten gest bez znaczenia, przechodziła triumfalnie mimo niego, zalewała szerokim swym strumieniem słabe podrygi męsko ci. Było co tragicznego w tej płodno ci niechlujnej i nieumiarkowanej, była niedza kreatury walczącej na granicy nico ci i mierci, był jakiś heroizm kobieco ci triumfujący, urodzajno ci, nawet nad kalectwem natury, nad insuficjencją, męskozłoczy. Ale potomstwo ukazywało rację tej paniki macierzyńskiej, tego szafu rodzenia, który wyczerpywał się w płodach nieudanych, w efemerycznej generacji fantomów bez krwi i twarzy. Wszła łucja, rednia, z głowem, nazbyt rozkwitła, i dojrzała, na dziecięcym i pulchnym ciele o miętach białym i delikatnym. Podała mi rączkę lalkowatą, jakby dopiero pęczkującą, i zakwitła od razu cała, twarz, jak piwonie przelewająca się pełnią, różową. Nieszczera liwa z powodu swych rumieńców, które bezwstydnie mówiły o sekretach menstruacji, przymykała oczy i płała się jeszcze bardziej pod dotknięciem najobojętniejszego pytania, gdyż każde zawierało tajną, aluzję do jej nadwrażliwego panieństwa. Emil,

najstarszy z kuzynów, z jasnoblonde włosy, z twarzą, z której życie zmyło jakby wszelki wyraz, spacerował tam i z powrotem po pokoju, z rękami w kieszeniach fałdzistych spodni. Jego strój elegancki i drogocenny nosił pięć egzotycznych krajów, z których powrócił. Jego twarz, zwiędła i zmętniała, zdawała się z dnia na dzień zapominać o sobie, stawała się białą, pustą, ciałem, z bladą, siecią, żyłką, w których jak linie na zatartej mapie plątały się gasnące wspomnienia tego burzliwego i zmarnowanego życia. Był mistrzem sztuk karcianych, palił długie, szlachetne fajki i pachniał dziwnie zapachem dalekich krajów. Z wzrokiem wędrującym po dawnych wspomnieniach opowiadał dziwne anegdoty, które w pewnym punkcie urywały się nagle, rozprzeczgały i rozwiewały w nic. Wodziłem za nim tęsknym wzrokiem, pragnąc, by zwrócił na mnie uwagę i wybawił mnie z udręki nudów. I w samej rzeczy zdawało mi się, że mrugnął na mnie oczyma, wychodząc do drugiego pokoju. Podjąłem za nim. Siedział nisko na małej kozetce, z kolanami krzyżującymi się niemal na wysoko cięgi, tysej jak kula bilardowa. Zdawało się, że to ubranie samo leży, fałdziste, zmięte, przerzucone przez fotel. Twarz jego była jak tchnienie twarzy--smuga, którą nieznany przechodzień zostawił w powietrzu. Trzymał w bladych, emaliowanych błękitnie dłoniach portfel, w którym coś ogłodał. Z mgły twarzy wyłoniło się z trudem wypukłe bielmo bladego oka, wabiąc mnie figlarnym mruganiem. Czułem do niego nieprzepartą sympatię. Wziął mnie między kolana i tasując przed moimi oczyma wprawnoymi dłońmi fotografie, pokazywał wizerunki nagich kobiet i chłopców w dziwnych pozycjach. Stałem oparty o niego bokiem i patrzyłem na te delikatne ciała ludzkie dalekimi, niewidzącymi oczyma, gdy fluid niejasnego wzburzenia, którym nagle zmętniało powietrze, doszedł do mnie i zbiegł mi dreszczem niepokoju, fałszywego zrozumienia. Ale tymczasem ta mgiełka u miechu, która się zarysowała pod moim i pięknym jego włosy, zawiązek po zdania, który napiął się na jego skroniach pulsując, żyłką, natężenie trzymając przez chwilę jego rysy w skupieniu--upadły z powrotem w nic. Twarz odeszła w nieobecność zapomniawszy o sobie, rozwiła się,

NAWIEDZENIE 1 Już wówczas miasto nasze popadało coraz bardziej w chroniczną szarą zmięszkę, porastało na krawędziach liszajem cienia, puszystą, pleśnią, i mchem koloru żółtego. Ledwo rozpowity z brunatnych dymów i mgieł poranka--przechylał się dzień od razu w niskie bursztynowe popołudnie, stawał się przez chwilę przezroczysty i żółty jak ciemne piwo, a żeby potem zejść pod wielokrotnie rozczłonkowane, fantastyczne sklepienia kolorowych i rozległych nocy. Mieszkali my w rynku, w jednym z tych ciemnych domów o pustych i lepych fasadach, które tak trudno od siebie odróżnić. Daje to powód do ciągłych omyłek. Gdy wszedłszy raz w niewłaściwą, się na niewłaściwe schody, dostawało się zazwyczaj w prawdziwy labirynt obcych mieszkań, ganków, niespodzianych wyjść i obce podwórza i zapominało się o początkowym celu wyprawy, a żeby po wielu dniach, wracając z manowców dziwnych i spleśnianych przyciół, o jakim szarym wicie przypomnieć sobie w ród wyrzutów sumienia dom rodzinny. Pełne wielkich szaf, gabłokich kanap, bladych luster i tandetnych palm sztucznych mieszkanie nasze coraz bardziej popadało w stan zaniedbania wskutek opieczętowania ci matki, przesiadującej w sklepie, i niedbalstwa smukłonożnej Adeli, która nie nadzorowana przez nikogo, spędzała dni przed lustrami na rozwlekanej toalecie, zostawiając wszędzie lady w postaci wyczesanych włosów,

grzebieni, porzuconych pantofelek i gorsetów. Mieszkanie to nie posiadało określonej liczby pokoi, gdy nie pamiętało, ile z nich wynajęte było obcym lokatorom. Nieraz otwierano przypadkiem któreś z tych izb zapomnianych i znajdowano je, pustymi; lokator dawno się wyprowadził, a w nietkniętych od miesiący szufladach dokonywano niespodzianych odkryć. W dolnych pokojach mieszkali subiekci i nieraz w nocy budziły nas ich jęki, wydawane pod wpływem zmory sennej. W zimie była jeszcze na dworze głucho noc, gdy ojciec schodził do tych zimnych i ciemnych pokoi, przosząc przed sobą, wiec, stada cieni, ulatujących bokami po podłodze i cianach; szedł budzący się ko chrapiących z twardego jak kamień snu. W świetle pozostawionej przezeń wiecy wywijali się leniwie z brudnej podłogi, wystawiali, siadając na fotelkach, boso i brzydkie nogi i z skarpetek, w ręce oddawali się jeszcze przez chwilę rozkoszy ziewania--ziewania przeciwnie tego aż do lubieżności, do bolesnego skurczu podniebienia, jak przy ciężkich wymiotach. W kątach siedziały nieruchomo wielkie karakony, wyogromnione własnym cieniem, którym obarczała każdego przonośca wieca i który nie odstępował się od nich i wówczas, gdy który z tych paskich, bezgłowych kadłubów z nagła zaczynał biec niesamowitym, pajęczym biegiem. W tym czasie ojciec mógł zaczął zapadać na zdrowiu. Bywało już w pierwszych tygodniach tej wczesnej zimy, że spędzał dni całe w fotelu, otoczony flaszkami, pigułkami i księgami handlowymi, które mu przynoszono z kontuaru. Gorzki zapach choroby osiadał na dnie pokoju, którego tapety gościły ciemniejszym splotem arabesek. Wieczorami, gdy matka przechodziła ze sklepu, bywał podniecony i skłonny do sprzeczek, zarzucał jej niedokładność w prowadzeniu rachunków, dostawał wypieków i zapalał się do nieczytelnego ci. Pamiętam, iż raz, obudzony się ze snu późno w nocy, ujrzałem go, jak w koszuli i boso biegał tam i z powrotem po skórzanej kanapie, dokumentując ten sposób swą irytację przed bezradną matką. W inne dni bywał spokojny i skupiony i pogrzebał się zupełnie w swych księgach, zabłąkany gdzieś w labiryntach zawiłych obliczeń. Widział go w świetle kopczej lampy, przykucniętego w róg poduszek, pod wielkim rzeźbionym nadgłowieciem fotela, z ogromnym cieniem od głowy na cianie, kiwającego się w bezgłowej medytacji. Chwilami wynurzał głowę z tych rachunków, jakby dla zaczerpnięcia tchu, otwierał usta, mlaskał z niesmakiem językiem, który był suchy i gorzki, i rozglądał się bezradnie, jakby czego szukał. Wówczas bywało, że zbiegał po cichu z fotela w kąt pokoju, pod cianę, na której wisiał zaufany instrument. Był to rodzaj klepsydry wodnej albo wielkiej fioli szklanej, podzielonej na uncje i napełnionej ciemnym fluidem. Mój ojciec przychodził z tym instrumentem długi, kiszki, gumowate, jakby kręte, bolesne, powinno, i tak połączony z żółtym przyrzędem--nieruchomiał w skupieniu, a oczy jego ciemniały, za na twarz przybłądł, występował wyraz cierpienia czy jakiej występnej rozkoszy. Potem znów przychodziły dni cichej skupionej pracy, przeplatanej samotnymi monologami. Gdy tak siedział w świetle lampy stołowej, w róg poduszek wielkiego fotela, a pokój ogromniał górą, w cieniu umbr, który go przychodził z wielkim żywiołem nocy miejskiej za oknem - czuł, nie patrzył, że przestrzeń obrasta go pulsującą, gościwiną, tapet, pełną, szeptów, syków i seplenie. Słyszał, nie patrzył, że znowu pełną, porozumiewawczych mrugnięć perskich oczu, rozwijających się w róg kwiatów małych owiniętych usznych, które słuchoły, i ciemnych ust, które się uśmiechały. Wówczas pogrzebał się pozornie jeszcze bardziej w pracę, liczył i sumował, bojąc się zdradzić w gniew, który w nim zbierał, i

walcz,,c z pokus,, i żeby z nagłym krzykiem nie rzucił się na o lepię za siebie i nie pochwycał peńnych garci tych kędzierzawych arabesek, tych pęków oczu i uszu, które noc wyroiła ze siebie i które rosły i zwielokrotniały się, wymajaczaj,,c coraz nowe pędy i odnogi z macierzystego pępka ciemno ci. I uspokajał się dopiero, gdy z odpływem nocy tapety więdły, zwijały się, gubiły liście i kwiaty i przeredzały się jesienią, przepuszczając dalekie witanie. Wtedy w ród wiergotu tapetowych ptaków, w żółtym zimowym wicie zasypiał na parę godzin gęstym, czarnym snem. Od dnia, od tygodnia, gdy zdawał się być opór,,żonym w zawiłych konto-korrentach--my i jego zapuszczała się tajemnie w labirynty własnych wnętrza ci. Wstrzymywał oddech i nastuchiwał. I gdy wzrok jego wracał zbiegał i mętny z tamtych gębin, uspokajał go u miechem. Nie wierzył jeszcze i odrzucał jak absurd te uroszczenia, te propozycje, które na niego napierały. Za dnia były to jakby rozumowania i perswazje, długi, monotonne rozważania prowadzone półgłosem i pełne humorystycznych interudów, filuternych przekomarza. Ale noc,, podnosił się te głosy namiętniej. fl,,danie wracało coraz wyraźniej i doniosłej i słyszeli my, jak rozmawiał z Bogiem, prosił,,c się jak gdyby i wzbraniał,,c przed czymś, co natarczywie i,,dało i domagało się. Aż pewnej nocy podniósł się ten głos groźny i nieodparcie, i,,daj,,c, aby mu dał wiadomość uszy i wnętrza ciami swymi. I usłyszeli my, jak duch wstąpił, jak podnosił się z łóżka, długi i rosnący gniewem proroczym, dąwi,,c się hałaśliwymi słowami, które wyrzucał jak mitralieza. Słyszeli my łomot walki i jęk ojca, jęk tytana ze złamanym biodrem, który jeszcze uraga. Nie widziałem nigdy proroków Starego Testamentu, ale na widok tego męca, którego gniew boży obalił, rozkraczono szeroko na ogromnym porcelanowym urynale, zakrytego wichrem ramion, chmur,, rozpaczliwych łamańców, nad którymi wyżej jeszcze unosił się głos jego, obcy i twarde--zrozumiałem gniew boży więdłych męców. Był to dialog groźny jak mowa piorunów. Łamał rak jego rozrywał niebo na sztuki, a w szczelinach ukazywała się twarz Jehowy, wzdęta gniewem i pluj,,ca przekleństwa. Nie patrzy,,c widziałem go, groźnego Demiurga, jak leży,,c na ciemno ciach jak na Synaju, wsparłszy potężne dłoń na karniszu firanek, przykładał ogromną, twarz do górnych szyb okna, na których płaścił się potwornie męsisty nos jego. Słyszałem jego głos w przerwach proroczej tyrady mego ojca, słyszałem te potężne warknięcia wzdętych warg, od których szyby brzęczały, mieszały,,ce się z wybuchami zaklęćlamentów, grób mego ojca. Czasami głosy przycichały i złymały się z cicha jak gaworzenie wiatru w nocnym kominie, to znów wybuchały wielkim zgiełkliwym hałasem, burzą, zmieszanych szlochów i przekleństw. Z nagła otworzyło się okno ciemnym ziewnięciem i płahta ciemno ci wionęła przez pokój. W wietle błyskawicy ujrzałem ojca mego w rozwianej bieli nie, jak ze straszliwym przekleństwem wylewał potężnym chlusem w okno zawartość nocnika w noc szumi,,c, jak muszla. 2 Mój ojciec powoli zanikał, wi,,dł w oczach. Przykucnięty pod wielkimi poduszkami, dziko nastroszony kępami siwych włosów, rozmawiał z sobą,, półgłosem, pogr,,żony cały w jakieś zawiłe wewnętrzne afery. Zdawał się mogło, że osobowo jego rozpadła się na wiele pokłóconych i rozbieżnych ja ni, gdyż kłócił się ze sobą,, głośno, pertraktował usilnie i namiętnie, przekonywał i prosił, to znów zdawał się przewodniczyć zgromadzeniu wielu interesantów, których usiłował z całym nakładem żarliwości i swady pogodzić. Ale za każdym razem te hałaśliwe zebrania, pełne gor,,cych temperamentów, rozpryskiwały się przy kołku, w ród kl,,tw, ztorzece i

obelg. Potem przyszedł okres jakiego uciszenia, ukojenia wewnętrznego, błogiej pogody ducha. Znowu wielkie folianty rozłożone były na łóżku, na stole, na podłodze i jaki benedyktyński spokój pracy zalegał w wietle lampy nad biurkiem, po cielu, łóżku, nad pochyloną siwą głową mego ojca. Ale gdy matka późnym wieczorem wracała ze sklepu, ojciec ożywiał się, przywoływał ją do siebie i z dumą pokazywał jej wietne, kolorowe odbijanki, którymi skrzętnie wylepił stronicę księgi głównej.

Zauważyli my wówczas wszyscy, że ojciec zaczął z dnia na dzień maleć jak orzech, który zsiyka wewnątrz żupiny. Zanikowi temu nie towarzyszył bynajmniej upadek sił. Przeciwnie, stan jego zdrowia, humor, ruchliwość zdawały się poprawiać. Często miał się teraz głośno i szczebiotliwie, zanosił się wprost od miechu, albo też pukał w łóżko i odpowiadał sobie prosiąc w różnych tonacjach, całymi godzinami. Od czasu do czasu złączał z łóżka, wspinał się na szafę i przykucnięty pod sufitem porządkował co w starych gratach, pełnych rdzy i kurzu. Niekiedy ustawiał sobie dwa krzesła naprzeciw siebie i wspierał się rękami o poręczce, bujał się nogami wstecz i naprzód, szukał, rozpromienionymi oczyma w naszych twarzach wyrazów podziwu i zachęty. Z Bogiem, zdaje się, pogodził się zupełnie. Niekiedy w nocy ukazywała się twarz brodatego Demiurga w oknie sypialni, obłana ciemną, purpurą, bengalskiego wiatła, i patrzyła przez chwilę dobrotliwie na u pionego głębok, którego piewne chrapanie zdawało się wędrować daleko po nieznanym obszarze wiatów sennych.

Podczas długich, półciemnych popołudni tej późnej zimy ojciec mój zapadał od czasu do czasu na całe godziny w gęsto zastawione gratami zakamarki, szukając czegoś zawzięcie. I nieraz bywało podczas obiadu, gdy zasiadali my wszyscy do stołu, brakło ojca. Wówczas matka musiała długo wołać: Jakubie! i stukać w drzwi, w ścianę, zanim wylazł z jakiejś szafy, oblepiony szmatami pajęczyny i kurzu, z wzrokiem nieprzytomnym i pogryzionym w zawiłych, a jemu tylko wiadomych sprawach, które go zaprzętały. Czasem wdrapywał się na karnisz i przybierał nieruchomą, pozostawiając symetrycznie do wielkiego wypchanego ściana, który po drugiej stronie okna zawieszony był na cianie. W tej nieruchomej, przykucniętej pozycji, z wzrokiem zamglonym i z miną chytro uśmiechniętą, trwał godzinami, a żeby z nagłą przy czymś wejściu zatrzepotać jak skrzydłami i zapiać jak kogut. Przestali my zwracać uwagę na te dziwactwa, w które się z dnia na dzień głębiej wplątywał. Wyzbyły jakby zupełnie cielesnych potrzeb, nie przyjmując tygodniami pokarmu, pogryzał się z dniem każdym głębiej w zawiłe i dziwaczne afery, dla których nie mieliśmy zrozumienia. Niedosięgnięty dla naszych perswazji i prób, odpowiadał urywkami swego wewnętrznego monologu, którego przebiegu nic z zewnątrz zmienić mogło. Wiecznie zaferowany, chorobliwie ożywiony, z wypiekami na suchych policzkach nie zauważał nas i przeoczał.

Przywykli my do jego nieszkodliwej obecności, do jego cichego gaworzenia, do tego dziecinnego, w sobie zatopionego wiegotu, którego trele przebiegały niejako na marginesie naszego czasu. Wtedy już zniknął niekiedy na wiele dni, podziewał się gdzieś w zapadłych zakamarkach mieszkania i nie można go było znaleźć. Stopniowo te zniknięcia przestały sprawiać nam wrażeń, przywykli my do nich i kiedy po wielu dniach znów się pojawiał, o parę cali mniejszy i chudszy, nie zatrzymywało to na dłuższą naszą uwagę. Przestali my po prostu brać go w rachubę, tak bardzo oddalił się od wszystkiego, co ludzkie i co rzeczywiste. W końcu po pewnym czasie odłączył się od nas, punkt po punkcie gubił związki z nami, ze współnotnymi, ludzkimi. To, co jeszcze z niego

pozostało, to trochę cielesnej powłoki i ta garz bezsensownych dziwactw - mogły zniknąć, pewnego dnia, tak samo nie zauważone jak szara kupka miodu, gromadząca się w kącie, którą Adela co dzień wynosiła na mietnik.

PTAKI Nadeszły ciężkie, pełne nudy dni zimowe. Zrudziały, ziemię pokrywają dziurawy, przetarty, za krótki obrus niegu. Na wiele dachów nie starczyło go i stały czarne lub rdzawe, gontowe strzechy i arki kryjące w sobie zakopane przestrzenie strychów--czarne, zwężone katedry, najcięższe łebami krokwi, płatwi i bantów--ciemne płuca wicherów zimowych. Każdego wita odkrywały nowe kominy i dymniki, wyrosłe w nocy, wydające przez wicher nocny, czarne piszczałki organów diabelskich. Kominiarze nie mogli opędzić się od wron, które na kształt żywych czarnych liści obsiadały wieczorem gałęzie drzew pod kołosem, odrywały się znów, trzepocąc, by wreszcie przylgnąć do wnętrza ciwego miejsca na wnętrzu gałęzi, a o wicie ulatywały wielkimi stadami--tumanami sadzy, płatki kopci, falujące i fantastyczne, plamiące migotliwym krakaniem mętno ciężkie smugi wiatru. Dni stwardniały od zimna i nudy, jak zeszłoroczne bochenki chleba. Napoczynano je ciepłymi nozami, bez apetytu, z leniwym, sennością. Ojciec nie wychodził już z domu. Palił w piecach, studiował nigdy niezgłębioną, istotę ognia, wyczuwał słońce, metaliczny posmak i wędzony zapach zimowych płomieni, chłodny, pieszczotliwy salamander, liście, cichych błyszczących, sadzących w gardzieli komina. Z zamiłowaniem wykonywał w owych dniach wszystkie reparatury w górnych regionach pokoju. O każdej porze dnia można go było zobaczyć--pryknąć na szczycie drabiny--majstrować co przy suficie, przy kamizdach wysokich okien, przy kulach i żarówkach lamp wiszących. Zwyczajem malarzy posługiwał się drabiną, jak ogromnymi szrudami i czuł się dobrze w tej ptasiej perspektywie, w pobliżu malowanego nieba, arabesek i ptaków sufitu. Od spraw praktycznego życia oddalał się coraz bardziej. Gdy matka, pełna troski i zmartwienia z powodu jego stanu, starała się go wciągnąć, rozmawiała o interesach, o płatnościach najbliższego ultimo, słuchoła jej z roztargnieniem, pełnym niepokoju, z drgawkami w nieobecnej twarzy. I bywało, że przerywał jej nagle zaklinającym gestem ręki, aby pójść w kąt pokoju, przylgnąć do szpary w podłodze i z podniesionymi palcami wskazującymi obu rękami, wyrażającymi najwyższą wagę badania--nasłuchiwać. Nie rozumieli my wówczas jeszcze smutnego tła tych ekstrawagancji, opłakanego kompleksu, który dojrzewał w głębi. Matka nie miała żadnego wpływu, natomiast wielką, czcziwą i uwagą, darzył Adela. Sprzymanie pokoju było dla wielką, i ważną, ceremonią, której nie zaniedbywał nigdy bywaniem, ledząc z mieszaniną, strachu i rozkosznego dreszczu wszystkie manipulacje Adeli. Wszystkim jej czynnościom przypisywał głębsze, symboliczne znaczenie. Gdy dziewczyna młodymi i miętymi ruchami posuwała szczotkę na długim drążku po podłodze, było to niemal ponad jego siły. Z oczu jego lały się wówczas łzy, twarz zanosiła się od cichego miechu, a ciałem wstrząsał rozkoszny spazm orgazmu. Jego wrażliwość na faskotki dochodziła do szaleństwa. Wystarczyło, by Adela skierowała doń palec ruchem oznaczającym faskotanie, a już w dzikim popłochu uciekał przez wszystkie pokoje, zatraskując za sobą, drzwi, by wreszcie w ostatnim pałacu na brzochem na półko i wiać się w konwulsjach miechu pod wpływem samego obrazu wewnętrznego, któremu nie mógł się oprzeć. Dzięki temu miała Adela nad ojcem władzę niemal nieograniczoną. W tym to czasie zauważyli my u ojca

po raz pierwszy namięte zainteresowanie dla zwierząt. Była to początkowo namięta ańny liwego i artysty zarazem, była może także głębsza, zoologiczna sympatia kreatury dla pokrewnych, a tak odmiennych form życia, eksperymentowanie w nie wypróbowanych rejestrach bytu. Dopiero w późniejszej fazie wzięta sprawa ten niesamowity, zaplany, głęboko grzeszny i przeciwny naturze obrót, którego lepiej nie wywlekać na światło dzienne. Zaczęło się to od wyłęgania jaj ptasich. Z wielkim nakładem trudu i pieniędzy sprowadzał ojciec z Hamburga, z Holandii, z afrykańskich stacji zoologicznych zapłodnione jaja ptasie, które dawał do wyłęgania ogromnym kurom belgijskim. Był to proceder nader zajmujący i dla mnie--to wykluwanie się piskląt, prawdziwych dziwotworów w kształcie i ubarwieniu. Nie podobna było dopatrzeć się w tych monstrach o ogromnych, fantastycznych dziobach, które natychmiast po urodzeniu rozdzierały się szeroko, sycząc i arżącźnie czelu ciemię gardła, w tych jaszczurach o wstępnym, nagim ciele garbusów--przyszłych pawli, bażantów, gęsi i kondorów. Umieszczony w koszykach, w wacie, smoczy ten pomiot podnosił na cienkich szyjach lepe, bielmem zarosłe głowy, kwacząc bezgłośnie z niemych gardzieli. Mój ojciec chodził wzdłuż pólki w zielonym fartuchu, jak ogrodnik wzdłuż inspektów z kaktusami, i wywabiał z nico ci te pęcherze lepe, pulsujące życiem, te niedośćne brzuchy, przyjmujące wiat zewnętrzny tylko w formie jedzenia, te narożne życia, pnie się omackiem ku wiatu. W parę tygodni później, gdy te lepe pączki życia pękły do wiatu, napełniły się pokoje kolorowym pogwarem, migotliwym wiergotem swych nowych mieszkańców. Obsiadały one karnisze firanek, gzymsy szaf, gnie dziły się w gęstwinie cynowych gałęzi i arabesk wieloramiennych lamp wiszących. Gdy ojciec studiował wielkie ornitologiczne kompendia i wertował kolorowe tablice, zdawały się ulatywać z nich te pierzaste fantazmaty i napełniały pokój kolorowym trzepotem, płatami purpury, strzępami szafiru, grynszpanu i srebra. Podczas karmienia tworzyły one na podłodze barwny, falujący, grządkowy dywan żywy, który za czymś niebaczny wejściem rozpadał się, rozlatywał w ruchome kwiaty, trzepoczące w powietrzu, aby w kołcu rozmieściły się w górnych regionach pokoju. W pamięci pozostał mi szczególnie jeden kondor, ogromny ptak o szyi nagiej, twarzy pomarszczonej i wybujałej narami. Był to chudy asceta, lama buddyjski, pełen niewzruszonej godności w całym zachowaniu, kierujący się żelaznym ceremoniałem swego wielkiego rodu. Gdy siedział naprzeciw ojca, nieruchomy w swej monumentalnej pozycji odwiecznych bóstw egipskich, z okiem zawleczonym białawym bielmem, które zasunął z boku na renice, a żeby zamknąć się zupełnie w kontemplacji swej dostojnej samotności--wydawał się ze swym kamiennym profilem starszym bratem mego ojca. Ta sama materia ciała, cięgien i pomarszczonej twardej skóry, ta sama twarz wyschła i koścista, te same zrogowaciały, głębokie oczodoły. Nawet ręce, silne w wężach, długie, chude dłonie ojca, z wypukłymi paznokciami, miały swój analogon w szponach kondora. Nie mogłem się oprzeć wrażeń, widząc go tak u pionego, że mam przed sobą, mumię--wyschłą, i dlatego pomniejszoną, mumię mego ojca. Sądząc, że i uwagi matki nie uszło to przedziwne podobieństwo, chociaż nigdy nie poruszali my tego tematu. Charakterystyczne jest, że kondor używał wspólnego z moim ojcem naczynia nocnego. Nie poprzestaj, na wyłęganiu coraz nowych egzemplarzy, ojciec mój urządzał na strychu wesela ptasie, wysyłał swatów, uwiarywiał w lukach i dziurach strychu ponętne, stęsknione narzeczony i osiagnię w samej rzeczy to, że dach naszego domu, ogromny, dwuspadowy dach gontowy,

stał się prawdziw., gospod., ptasi., ark., Noego, do której zlatywały się wszelkiego rodzaju skrzydlacze z dalekich stron. Nawet dżugo po zlikwidowaniu ptasiego gospodarstwa utrzymywała się w wiecie ptasim ta tradycja naszego domu i w okresie wiosennych wędrowek spadały nieraz na nasz dach całe chmary żurawi, pelikanów, pawi i wszelkiego ptactwa. Impreza ta wzięła jednak niebawem--po krókiej wietno ci--smutny obrót. Wkrótce okazała się bowiem konieczna translokacja ojca do dwóch pokojów na poddaszu, które służyły za rupieciarnie. Stamtąd dochodził już o wczesnym wiecie zmieszany klangor głosów ptasich. Drewniane pudła pokojów na strychu, wspomagane rezonansem przestrzeni dachowej, dźwięczały całe od szumu, trzepotu, piania, tokowania i gulgotu. Tak stracili my ojca z widoku na przecięg kilku tygodni. Rzadko tylko schodził do mieszkania i wtedy mogli my zauważyć zmniejszyć się jakoby, schudł i skurczył. Niekiedy przez zapomnienie zrywał się z krzesła przy stole i trzepi, ciekoma jak skrzydłami, wydawał pianie przecięgłe, a oczy zachodziły mu mgłą, bielma. Potem, zawstydzony, miał się razem z nami i starał się ten incydent obrócić w żart. Pewnego razu w okresie generalnych porządków zjawiła się niespodzianie Adela w państwie ptasim ojca. Stanęła we drzwiach, zamazała rękę nad fetorem, który się unosił w powietrzu, oraz nad kupami kału, zalegającego podłogi, stoły i meble. Szybko zdecydowana otworzyła okno, po czym przy pomocy dżugiej szczotki wprawiła całe, masę ptasi, w wirowanie. Wzbił się piekielny tuman piór, skrzydeł i krzyku, w którym Adela, podobna do szalejącej Menady, zakrytej młynem swego tyrsu, tańczyła taniec zniszczenia. Razem z ptasi., gromad., ojciec mój, trzepi, ciekoma, w przerażeniu próbował wnieść się w powietrze. Zwolna przeredzał się tuman skrzydlaty, a w końcu na pobojuwisku została sama Adela, wyczerpana, dysząca, oraz mój ojciec z miną, zafrasowaną, i zawstydzoną, gotów do przyjęcia każdej kapitulacji. W chwili później schodził mój ojciec ze schodów swojego dominium--człowiek zamany, król-banita, który stracił tron i królowanie.

MANEKINY Ta ptasia impreza mego ojca była ostatnim wybuchem kolorowo ci, ostatnim i wietnym kontrmarszem fantazji, który ten niepoprawny improwizator, ten fechtmistrz wyobraźni poprowadził na szczyty i okopy jałowej i pustej zimy. Dziś dopiero rozumiem samotne bohaterstwo, z jakim sam jeden wydał on wojnę bezbrzeżnemu żywiołowi nudy drzewi, cej miasto. Pozbawiony wszelkiego poparcia, bez uznania z naszej strony bronił ten mój przedziwny straconej sprawy poezji. Był on cudownym młynem, w którego leje sypały się otręby pustych godzin, a żeby w jego trybach zakwitły, wszystkimi kolorami i zapachami korzeni Wschodu. Ale przywykli do wietnego kuglarstwa tego metafizycznego prestidigitatora, byliśmy skłonni zapoznawać się z jego suwerennej magii, która nas ratowała od letargu pustych dni i nocy. Adeli nie spotkał żaden wyrzut za jej bezmyślność i tępą wandalizm. Przeciwnie, czuliśmy jakie niskie zadowolenie, haniebną, satysfakcję z ukrócenia tych wybujałości, których kosztowali my żakomie do syta, a żeby potem uchylać się perfidnie od odpowiedzialności za nie. A może był w tej zdradzie i tajny pokłon w stronę zwyczajnej Adeli, której przypisywali my niejasno jak, misję i posłannictwo się wyższego rzędu. Zdradzony przez wszystkich, wycofał się ojciec bez walki z miejsc swej niedawnej chwały. Bez skrzyżowania szpad oddał w rękę wroga domenę swej byłej wietno ci. Dobrowolny banita usunął się do pustego pokoju na końcu sieni i oszałcował się tam

samotno ci,, Zapomnieli my o nim. Obiegła nas znowu ze wszech stron
żółta szaro żółta, zakwitaj,,c w oknach ciemnym lizajem witów,
pasowytniczym grzybem zmierzchów, rozrastaj,,cym się w puszyste futro
długich nocy zimowych. Tapety pokojów, rozluźnione błogo za tamtych dni
i otwarte dla kolorowych lotów owej skrzydlatej czeredy, zamknęły się
znów w sobie, zgęstniały pl,,cz,,c się w monotonii gorzkich monologów.
Lampy poczerniały i zwiędły jak stare osty i bodiaki. Wisiały teraz
osowiałe i zgryliwe, dzwoni,,c cicho kryształkami szkiełek, gdy kto
przeprowiał się omackiem przez zmierzch pokoju. Na próżno wetknęła Adela
we wszystkie ramiona tych lamp kolorowe wiece, nieudolny surogat, blade
wspomnienie wietnych iluminacji, którymi kwitły niedawno wisz,,ce ich
ogrody. Ach! gdzie było to wiegotliwe p,,czkowanie, to owocowanie
po pieszne i fantastyczne w bukietach tych lamp, z których jak z
pękaj,,cych czarodziejskich tortów ulatywały skrzydlate fantazmaty,
rozbijaj,,ce powietrze na talie kart magicznych, rozsypuj,,c je w kolorowe
oklaski, sypi,,ce się gęstymi łuskami lazuru, pawiej, papuziej zieleni,
metalicznych połysków, rysuj,,c w powietrzu linie i arabeski, migotliwe
lady lotów i kołowa, rozwijaj,,c kolorowe wachlarze trzepotów,
utrzymuj,,ce się długo po przelocie w bogatej i błyskotliwej atmosferze,
Jeszcze teraz kryły się w gębi zszarzałej aury echa i możliwość ci
barwnych rozbłysków, lecz nikt nie nawiercał fletem, nie do wiadczał
widrem zmętniałych słońców powietrznych. Tygodnie te stały pod znakiem
dziwnej senno ci. Łódka cały dzień nie za celone, zawałone po cel,,
zmięte,, i wytarzan,, od ciękich snów, stały jak gębokie łodzie gotowe do
odpływu w mokre i zawiłe labirynty jakiej czarnej, bezgwiazdnej
Wenecji. O gęchym wiecie Adela przynosiła nam kawę. Ubierali my się
leniwie w zimnych pokojach, przy wietle wiecy odbitej wielokrotnie w
czar-nych szybach okien. Poranki te były pełne bezładnego kr,,tania się,
rozwlekłego szukania w różnych szufladach i szafach. Po całym mieszkaniu
szucha było kłapanie pantofelek Adeli. Subiekci zapalali latarnie,
brali z r,,k matki wielkie klucze sklepowe i wychodzili w gęst,, wiruj,,c,,
ciemno matka nie mogła dojść do ładu z toalet,, wiece dogasały w
lichtarzu. Adela przepadała gdzie w odległych pokojach lub na strychu,
gdzie rozwieszała bieliznę. Nie mogła na jej się być dowołać. Młody
jeszcze, mętny i brudny ogień w piecu lizał zimne, byszcz,,ce naro le
sady w gardzieli komina. wieca gasła, pokój pogr,,zał się w ciemno ci.
Z głowami na obrusie stołu, wód resztek niadania zasypiali my na wpół
ubrani. Leż,,c twarzami na futrzanym brzuchu ciemno ci, odpływali my na
jego falistym oddechu w bezgwiazdn,, nico budziło nas gło ne
spr,,tanie Adeli. Matka nie mogła uporać się z toalet,, Nim skończyła
czesanie, subiekci wracali na obiad. Mrok na rynku przybierał kolor
żółtawego dymu. Przez chwilę z tych dymnych miodów, z tych mętnych
bursztynów mogły się rozpowiać kolory najpiękniejszego popołudnia. Ale
szczęśliwy moment mijał, amalgamat witu przekwitał, wezbrany ferment
dnia, już niemal do cięty, opadał z powrotem w bezsiln,, szaro
Zasiadali my do stołu, subiekci zacierali czerwone z zimna ręce i nagle
proza ich rozmów sprowadzała od razu pełny dzień, szary i pusty wtorek,
dzień bez tradycji i bez twarzy. Ale gdy pojawiał się na stole półmisek
z ryb,, w szklistej galarecie, dwie duże ryby leż,,ce bok przy boku, głow,,
do ogona jak figura zodiakalna, odpoznawali my w nich herb owego dnia,
emblem kalendarzowy bezimiennego wtorku, i rozbierali my go
pospiesznie między siebie, pełni ulgi, że dzień odzyskał w nim sw,,
fizjonomię. Subiekci spożywali go z namaszczeniem, z powag,,

kalendarzowej ceremonii. Zapach pieprzu rozchodził się po pokoju. A gdy wytarli bułki, ostatek galarety ze swych talerzy, rozważając w myli heraldyczne następnych dni tygodnia, i na półmisku zostawały tylko gąbki z wygotowanymi oczyma--czuli my wszyscy, że dzieło zostało wspólnymi siłami pokonany i że reszta nie wchodziła już w rachubę. W samej rzeczy z resztą, tym, wydaną, na jej żąskę, Adela nie robiła sobie dużych ceregieli. W ród brzęku garnków i chlupów zimnej wody likwidowała z energii, tych parę godzin do zmierzchu, które matka przespiała na otomanie. Tymczasem w jadalni przygotowywano już scenę wieczoru. Poldę i Paulinę, dziewczęta do szycia, rozgospodarowywały się w niej z rekwizytami swego fachu. Na ich ramionach wniesiona wchodziła do pokoju milcząca, nieruchoma pani, dama z kłaków i pędna, z czarną, drewnianą, gałką, zamiast gąbki. Ale ustawiona w kącie, między drzwiami a piecem, ta cicha dama stawała się panią, sytuacji. Ze swego kąta, stojąc nieruchomo, nadzorowała w milczeniu pracę dziewczę. Pełna krytycyzmu i niechęci przyjmowała ich starania i umizgi, z jakimi przyklękali przed nią, przymierzając fragmenty sukni, znaczone białą, fastrygą. Obsługiwały z uwagą, i cierpliwie ci, milczący idol, którego nic zadowolić nie mogło. Ten moloch był nieubłagany, jak tylko kobiece molochy by potrafiły, i odsyłał je wciąż na nowo do pracy, a one, wrzecionowate i smukłe, podobne do szpuli drewnianych, z których odwijają się nici, i tak ruchliwe jak one, manipulowały zgrabnymi ruchami nad tą, kupą, jedwabiu i sukna, wcinając się szczykami nożycami w jej kolorową, masę, furkotały maszynami, deptając pedały lakierkowymi, tanimi, nóżkami, a dookoła nich rosła kupa odpadków, różnokolorowych strzępów i szmatek, jak wyplute fuski i plewy dookoła dwóch wybrednych i marnotrawnych papug. Krzywe szczyki nożyc otwierały się ze skrzypieniem, jak dzioby tych kolorowych ptaków. Dziewczęta deptały nieuważnie po barwnych obrzynkach, brodząc nie wiadomo niby w mietniku możliwego jakiego karnawału, w rupieciami jakiej wielkiej nieurzędywistnionej maskarady. Otrzępywały się ze szmatek z nerwowym miechem, żaskotały oczyma zwierciadła. Ich dusze, szybkie czarodziejstwo ich ręk było nie w nudnych sukniach, które zostawały na stole, ale w tych setkach odstrzygniętych tych wiścach lekkomyślnych i pfochych, którymi zasypały całe miasto, jak kolorową, fantastyczną, nieżywą. Nagle było im gorąco i otwierały okno, a żeby w niecierpliwie ci swej samotni, w gładzie obcych twarzy, przynajmniej bezimiennie, twarz zobaczył do okna przyciętą. Wachlowały rozpalone swe policzki przed wzbierającą, firankami noc, zimową,-- odsłaniały pfon,ce dekolty, pełne nienawiści do siebie i rywalizacji, gotowe stanąć do walki o tego pierrota, którego by ciemny powiew nocy przywiał na okno. Ach! jak mało wymagały one od rzeczywistości. Miały wszystko w sobie, miały nadmiar wszystkiego w sobie. Ach! byłby im wystarczył pierrot wypchany trocinami, jedno-dwa słowa, na które od dawna czekały, by móc wpaść w swą rolę dawno przygotowaną, z dawną tłoczycą, się na usta, pełną, słodkiej i strasznej goryczy, ponosząc, dziko, jak stronicę romansu pożytkane noc, wraz ze żłami ronionymi na wypieki lic. Podczas jednej ze swych wędrowek wieczornych po mieszkaniu, przedsiębranych pod nieobecność Adeli, natknęła się na ojciec na ten cichy seans wieczorny. Przez chwilę stał w ciemnych drzwiach przyległego pokoju, z lampą, w rękę, oczarowany sceną, pełną, gorączki i wypieków, tym idyllą, z pudru, kolorowej bibułki i atropiny, której jako tylko pełne znaczenia podłożona była noc zimowa, oddychająca w ród wzdętych firanek okna. Nakładając okulary, zbliżyła się do niego w paru krokach i obszedła dookoła

dziewczeta, o wiec, je podniesion, w rEku lamp,. Przeci, g z otwartych drzwi podniósł firanki u okna, panienki dawały siE ogl, daækrEc, c siE w biodrach, pol niewaj, c emali, oczu, lakiem skrzypi, cych pantofelków, sprz, czkami podwi, zek pod wzdEt, od wiatru sukienk,; szmatki jEty umykaæ po podłodze, jak szczury, ku uchylonym drzwiom ciemnego pokoju, a ojciec mój przygl, dał siE uważnie prychnaj, cym osókom, szepc, c półgłosem:-- Genus avium... je li siE nie mylE, scansores albo pistacci... w najwyższym stopniu godne uwagi. Przypadkowe to spotkanie stało siE pocz, tkiem całej serii seansów, podczas których ojciec mój zdołał rychło oczarowaæ panienki urokiem swej przedziwnej osobisto ci. Odpłacaj, c siE za peñn, galanterii i dowcipu konwersacji, któr, zapeñniał im pustkE wieczorów--dziewczeta pozwalały zapalonemu badaczowi studiowaæ strukturE swych szczupłych i tandetnych ciałek. Działo siE to w toku konwersacji, z powag, i wytworno ci,, która najryzykowniejszym punktom tych badaæ odbierała dwuznaczny ich pozór. Odsuwaj, c poæczoszkE z kolana Pauliny i studiu, c rozmiñowanymi oczyma zwiEzł, i szlachetn, konstrukcjE przegubu, ojciec mój mówi:--Jak e peñna uroku i jak szczE liwa jest forma bytu, któr, panie obrały. Jak e piEka i prosta jest teza, któr, dano wam swym życiem ujawniaæLecz za to z jakim mistrzostwem, z jak, finezj, wywi, zuj, siE panie z tego zadania. Gdybym odrzucaj, c respekt przed Stwórc, chciał siE zabawiæw krytykE stworzenia, wołałbym:--mniej tre ci, wiEcej formy! Ach, jakby ulżył wiatu ten ubytek tre ci. WiEcej skromno ci w zamierzeniach, wiEcej wstrzemiE liwo ci w pretensjach--panowie demiurdzy--a wiat byłby doskonalszy!--wołał mój ojciec akurat w momencie, gdy dłoæ jego wyłuskiwała bia, łydK Pauliny z uwiEzi poæczoszki. W tej chwili Adela stanEła w otwartych drzwiach jadalni, nios, c tacE z podwieczorkiem. Było to pierwsze spotkanie dwu tych wrogich potEg od czasu wielkiej rozprawy. My wszyscy, którzy asystowali przy tym spotkaniu, przeżyli my chwilE wielkiej twogi. Było nam nadwyraz przykro byæwiadkami nowego upokorzenia i tak już ciEko do wiadzonego mEza. Mój ojciec powstał z kIEczek bardzo zmieszany, fal, po fali zabarwiała siE jego twarz coraz ciemniej napływem wstydu. Ale Adela znalazła siE niespodzianie na wysoko ci sytuacji. Podeszła z u miechem do ojca i dała mu prztyczka w nos. Na to hasło Polda i Paulina klasnEły rado- nie w dñonie, zatupotały nógkami i uwiesiwszy siE z obu stron u ramion ojca, obtaeczyły z nim stół dookoła. W ten sposób, dzieki dobremu sercu dziewcz, t, rozwiął siE zarodek przykrego konfliktu w ogdnej wesoło ci. Oto jest pocz, tek wielce ciekawych i dziwnych prelekcji, które mój ojciec, natchniony urokiem tego małego i niewinnego audytorium, odbywał w nastEpnych tygodniach owej wczesnej zimy. Jest godne uwagi, jak w zetkniEciu z niezwykłym tym człowiekiem rzeczy wszystkie cofały siE niejako do korzenia swego bytu, odbudowywały swe zjawisko aż do metafizycznego j, dra, wracały niejako do pierwotnej idei, a eby w tym punkcie sprzeniewierzyæsiE jej i przechyliæw te w, tpliwe, ryzykowne i dwuznaczne regiony, które nazwiemy tu krótko regionami wielkiej herezji. Nasz herezjarcha szedł w ról rzeczy jak magnetyzer, zarażaj, c je i uwodz, c swym niebezpiecznym czarem. Czy mam nazwaæ PaulinE jego ofiar,? Stała siE ona w owych dniach jego uczennic,, adeptk,, jego teoryj, modelem jego eksperymentów. Tutaj postaram siE wyłoz, yæ należyt, ostrożno ci,, i unikaj, c zgorszenia, tE nader kacersk,, doktrynE, która opEtała wówczas na długie miesi, ce mego ojca i opanowała wszystkie jego poczynania.

TRAKTAT O MANEKINACH ALBO WTRĄKA KSIĘGA RODZAJU Demiurgos--mówił mój ojciec--nie posiadał monopolu na tworzenie--tworzenie jest przywilejem wszystkich duchów. Materii dana jest nieskończona płodność niewyczerpana moc życiowa i zarazem uwodna siła pokusy, która nas nęci do formowania. W grę wchodzi materia kształtująca, siła niewyraźna u miechy, zawiązuje, siła napięcia, zgłaszaj, siła próby kształtów. Cała materia faluje od nieskończonych możliwości, które przez nią, przechodzą, mdłymi dreszczami. Czeka, czeka na ożywienie ducha, przelewa się ona w sobie bez końca, kusi tysiącem środków okrągłych i miękkości, które z siebie w lepszych rojeniach wymajacza. Pozbawiona własnej inicjatywy, lubię nie podatna, po kobiecemu plastyczna, ulega wobec wszystkich impulsów--stanowi ona teren wyjścia spod prawa, otwarty dla wszelkiego rodzaju szarlatanerii i dyletantyzmów, domenę wszelkich nadużyć w „tłiwych manipulacji demiurgicznych. Materia jest najbierniejsza, i najbezbardziej, istotna, w kosmosie. Każde jej ugniatanie formuje każde demu jest postępująca. Wszystkie organizacje materii są, nierwałe i luźne, łatwe do uwstecznienia i rozwinięcia. Nie ma żadnego zła w redukcji życia do form innych i nowych. Zabójstwo nie jest grzechem. Jest ono nieraz koniecznym gwałtem wobec opornych i skostniałych form bytu, które przestały być zajmujące. W interesie ciekawego i ważnego eksperymentu może ono nawet stanowić zasługę. Tu jest punkt wyjścia dla nowej apologii sadyzmu. Mój ojciec był niewyczerpany w gloryfikacji tego przedziwnego elementu, jakim była materia.--Nie ma materii martwej--nauczała--martwość jest jedynie pozorem, za którym ukrywa, siła nieznaną formę życia. Skala tych form jest nieskończona, a odcienie i niuanse niewyczerpane. Demiurgos był w posiadaniu ważnych i ciekawych recept twórczych. Dzięki nim stworzył on mnogo rodzajów, odnawiających siłę własną, siła. Nie wiadomo, czy recepty te kiedykolwiek zostaną zrekonstruowane. Ale jest to niepotrzebne, gdyż je liby nawet te klasyczne metody kreacji okazały siłą raz na zawsze niedostępne, pozostają, pewne metody illegalne, całe bezmiar metod heretyckich i występnych. W miarę jak ojciec od tych ogólnych zasad kosmogonii zbliżał się do terenu swych ciałniejszych zainteresowań, głos jego zniżał się do wnikliwego szeptu, wykład stawał się coraz trudniejszy i zawilszy, a wyniki, do których dochodził, gubiły się w „tłiwych i ryzykownych regionach. Gestykulacja jego nabierała ezoterycznej solenności. Przyrykał jedno oko, przykładał dwa palce do czoła, chyłto jego spojrzenia stawała się wprost niesamowita. Wwiercał się tam, chyłto ci, w swe interlokutorki, gwałcił cynizmem tego spojrzenia najwstydlwsze, najintymniejsze w nich rezerwy i dosięgał wymykające się w najgłębszym zakamarku, przypierał do ściany i taskotał, drapał ironicznym palcem, poki nie do taskotał się błąsku zrozumienia i miechu, miechu przyznania i porozumienia się, którym w końcu musiało się kapitulować Dziewczeta siedziały nieruchomo, lampa kopciła, sukno pod igłą, maszyny dawno się zsunęły, a maszyna stukotała pusto, stębnując czarne, bezgwiazdne sukno, odwijające się z postawy nocy zimowej za oknem.--Zbyt długo żyli my pod terrorem niedościgniętej doskonałości Demiurga--mówił mój ojciec--zbyt długo doskonałość jego tworu paraliżowała nas, własną, twórczość Nie chcemy z nim konkurować Nie mamy ambicji mu dorównać Chcemy być twórcami we własnej, niższej sferze, pragniemy dla siebie twórczości, pragniemy rozkoszy twórczej, pragniemy--jednym słowem--demiurgii.--Nie wiem, w którym imieniu

proklamował mój ojciec te postulaty, jaka zbiorowo jaka korporacja, sekta czy zakon, nadawała sw., solidarno ci., patos jego słowom. Co do nas, to byli my dalecy od wszelkich zakusów demurgicznych. Lecz ojciec mój rozwinął tymczasem program tej wtórej demiurgii, obraz tej drugiej generacji stworzonej, która stanęła w otwartej opozycji do panującej epoki.--Nie zależy nam--mówił on--na tworach o długim oddechu, na istotach na dalek., metce. Nasze kreatury nie będą bohaterami romansów w wielu tomach. Ich role będą, krótkie, lapidarne, ich charakterystyka--bez dalszych planów. Często dla jednego gestu, dla jednego słowa podejmiemy siłę trudu powołania ich do życia na tej jednej, chwili. Przyznajemy otwarcie: nie będziemy kładli nacisku na trwałość ani solidność wykonania, tworzy nasze będą, jak gdyby prowizoryczne, na jeden raz zrobione. Je li będą, to ludzie, to damy im na przykład tylko jedną stronę twarzy, jedną rękę, jedną nogę, to mianowicie, która im będzie w ich roli potrzebna. Byłoby pedanterią, troszczyć się o ich drugą, nie wchodzi, w grę nogę. Z tego mog., by po prostu zaszyte piętnem lub pobielone. Nasz., ambicją pokładamy będziemy w tej dumnej dewizie: dla każdego gestu inny aktor. Do obsługi każdego słowa, każdego czynu powołamy do życia innego człowieka. Taki jest nasz smak, to będzie wiat według naszego gustu. Demiurgos kochał siłę w wytrawnych, doskonałych i skomplikowanych materiałach, my dajemy pierwszeństwo tandecie. Po prostu porywa nas, zachwyca tanio alichota, tandetno materiału. Czy rozumiecie--pytał mój ojciec--głęboki sens tej słabo ci, tej pasji do pstrej bibułki, do papier machi, do lakowej farby, do kłaków i trociny? To jest--mówił z bolesnym uśmiechem--nasza miłość do materii jako takiej, do jej puszystości i porowatości, do jej jedynej, mistycznej konsystencji. Demiurgos, ten wielki mistrz i artysta, czyni ją, niewidzialną, każe jej zniknąć, pod gr., życia. My, przeciwnie, kochamy jej zgrzyt, jej oporność jej pałubiasztwo, niezgrabność. Lubimy pod każdym gestem, pod każdym ruchem widzieć jej oświecający wysiłek, jej bezwład, jej sędok, niedowiedzianość. Dziewczyna siedzi nieruchomo z szklanymi oczyma. Twarze ich były wycięgnięte i zgęszczone zasłuchaniem, policzki podmalowane wypiekami, trudno było w tej chwili ocenić czy należą do pierwszej, czy do drugiej generacji stworzenia.--Słowem--konkludował mój ojciec--chcemy stworzyć po raz wtóry człowieka, na obraz i podobieństwo manekinu. Tu musimy dla wierności sprawozdawczej opisać pewien drobny i błaży incydent, który zaszedł w tym punkcie prelekcji i do którego nie przywiążemy żadnej wagi. Incydent ten, całkowicie niezrozumiały i bezsensowny w tym danym szeregu zdarzeń, da się chyba wytłumaczyć jako pewnego rodzaju automatyzm szczeniowy, bez antecedensów i bez cięgi, jako pewnego rodzaju zło liwo obiektu, przeniesiona w dziedzinę psychiczną. Radzimy czytelnikowi zignorować z równ., lekkomyślności, jak my to czynimy. Oto jego przebieg: W chwili gdy mój ojciec wymawiał słowo manekin, Adela spojrzała na zegarek na bransoletce, po czym porozumiała się spojrzeniem z Poldem. Teraz wysunęła się wraz z krzesłem o pięć naprzód, podniosła brzeg sukni, wystawiła powoli stopę, opierając, w czarny jedwab, i wyprężyła ją, jak pyszczek węża. Tak siedziała przez cały czas tej sceny, całkiem sztywno, z wielkimi, trzepoczącymi oczyma, pogłębionymi lazrem atropiny, z Poldem, i Paulina po obu bokach. Wszystkie trzy patrzyły rozszerzonymi oczami na ojca. Mój ojciec chrząknął, zamilkł, pochylił się i stał się nagle bardzo czerwony. W jednej chwili linatura jego twarzy, dopiero co tak rozwichrzona i pełna wibracji, zamknęła się na spokojniejszych rysach. On

- herezjarcha natchniony, ledwo wypuszczony z wichru uniesienia--złoty siCE nagle w sobie, zapadł i zwinął. A może wymieniono go na innego. Ten inny siedział sztywny, bardzo czerwony, ze spuszczonej oczyma. Panna Poldę podeszła i pochyliła się nad nim. Klepiła go lekko po plecach, mówiła tonem łagodnej zachęty:--Jakub będzie rozszedny, Jakub posłucha, Jakub nie będzie uparty. No, proszę... Jakub, Jakub... Wypięty pantofelek Adeli drżał lekko i błyszczał jak jęczmyk w cieple. Mój ojciec podniósł się powoli ze spuszczonej oczyma, postąpił krok naprzód, jak automat, i osunął się na kolana. Lampa syczała w ciszy, w gęstwinie tapet biegły tam i z powrotem wymowne spojrzenia, leciały szepty jadowitych języków, gzygaki myli...

TRAKTAT O MANEKINACH Ci, dalszy Następny wieczora ojciec podjął z odnowioną, swadą, ciemną i zawiłą swą temat. Lineatura jego zmarszczek rozwijała się i zwiniała z wyrafinowaną, chytrością. W każdej spirali ukryty był pocisk ironii. Ale czasami inspiracja rozszerzała kręgi jego zmarszczek, które rosły jak, ogromną, wirującą, groźną, uchodzącą w milczących wolutach w głąb nocy zimowej.--Figury panopticum, moje panie - zaczęła ona--kalwaryjskie parodie manekinów, ale nawet w tej postaci strzeżcie się lekko je traktować. Materia nie zna żartów. Jest ona zawsze pełna tragicznej powagi. Kto o miela się myli i może na igrać materią, i kształtować, może dla żartu, i żart nie wrasta w nią, nie wlewa się natychmiast jak los, jak przeznaczenie? Czy przeczuwacie ból, cierpienie głuche, nie wyzwolone, zakute w materię cierpienie tej pałuby, która nie wie, czemu nie, jest, czemu musi trwać w tej gwałtem narzuconej formie, będzie, parodię? Czy pojmujecie potęgę wyrazu, formy, pozorów, tyrańską, samowolę, z jaką, rzuca się on na bezbronną, kłopotliwą i opanowuje, jak własną, tyrańska, panosząca się dusza? Nadajecie jakiej głowie z kłaków i pędzą wyraz gniewu i pozostawiacie ją, z tym gniewem, z tym, konwulsyjnym, z tym napięciem raz na zawsze, zamkniętą, zelepą, złoty ci, dla której nie ma odpływu. Tym mieje się z tej parodii. Płacicie, moje panie, nad losem własnym, widzicie nędzę materii wiecznej, gnębionej materii, która nie wie, kim jest i po co jest, dokąd prowadzi ten gest, który jej raz na zawsze nadano. Tym mieje się. Czy rozumiecie straszny sadyzm, upajającą, demiurgiczne okrucieństwo tego miechu? Bo przecież płakam, moje panie, trzeba nad losem własnym na widok tej nędzy materii, gwałconej materii, na której dopuszczono się straszego bezprawia. Stąd płynie, moje panie, straszny smutek wszystkich błazeńskich golemów, wszystkich pałub, zadumanych tragicznie nad miesznym swym grymasem. Oto jest anarchista Luccheni, morderca cesarzowej Elżbiety, oto Draga, demoniczna i nieszczęśliwa królowa Serbii, oto genialny młodzieniec, nadzieja i duma rodu, którego zgubił nieszczęśliwy nałóg onanii. O, ironio tych nazw, tych pozorów! Czy jest w tej pałubie naprawdę co z królowej Dragi, jej sobowtór, najdalszy bodaj ciebie jej istoty? To podobieństwo, ten pozór, ta nazwa uspokaja nas i nie pozwala nam pytać kim jest dla siebie samego ten twór nieszczęśliwy. A jednak to musi być, moje panie, kto anonimowy, kto groźny, kto nieszczęśliwy, kto, co nie słyszał nigdy w swym głuchym życiu o królowej Dradze... Czy słyszeliście po nocach straszne wycie tych pałub woskowych, zamkniętych w budach jarmarcznych, i arosny chór tych kadłubów z drzewa i porcelany, walących piętami w ciany swych wież? W twarzą mego ojca, rozwichrzoną groźną, spraw, które wywołał z ciemności, utworzył się wir zmarszczek, lej rosnący w głąb, na którego dnie gorzało

gro ne oko prorocze. Broda jego zjeżyła się dziwnie, wiechcie i pędzle włosów, strzelajcie z brodawek, z pieprzów, z dziurek od nosa, nastroszyły się na swych korzonkach. Tak stał drzewy, z gorej, cymi oczyma, drzewo od wewnętrznego wzburzenia, jak automat, który zaciął się i zatrzymał na martwym punkcie. Adela wstała z krzesła i poprosiła nas o przymknięcie oczu na to, co się za chwilę stanie. Potem podeszła do ojca i z rękoma na biodrach, przybierając pozór lonej stanowczo ci, załdała bardzo dobitnie... Panienci siedziały sztywno, ze spuszczoneymi oczyma, w dziwnej drzewo ci...

TRAKTAT O MANEKINACH Dokończenie Którego z następnym wieczorów ojciec

mówił w te słowa ci, gnę, dalej sw., prelekcję:--Nie o tych nieporozumieniach uciele nionych, nie o tych smutnych parodiach, moje panie, owocach prostackiej i wulgarnej niepow ci, gliwo ci--chciałem mówić zapowiadając m., rzecz o manekinach. Miałem na myśli coś innego. Tu ojciec mówił zaczął budować przed naszymi oczyma obraz tej wymarzonej przez niego generacji aequivoca, jakiego pokolenia istot na wpół tylko organicznych, jakiej pseudowegetacji i pseudofauny, rezultatów fantastycznej fermentacji materii. Były to twory podobne z pozoru do istot żywych, do kręgowców, skorupiaków, członkonogów, lecz pozór ten mylił. Były to w istocie istoty amorfne, bez wewnętrznej struktury, płody imitatywnej tendencji materii, która obdarzona pamięcią, powtarza z przyzwyczajenia raz przyjęte kształty. Skala morfologii, której podlega materia, jest w ogóle ograniczona i pewien zasób form powtarza się wci, ż na różnych kondygnacjach bytu. Istoty te--ruchliwe, wrażliwe na bodźce, a jednak dalekie od prawdziwego życia--można było otrzymać zawieszając pewne skomplikowane koloidy w roztworach soli kuchennej. Koloidy te po kilku dniach formowały się, organizowały w pewne zagęszczenia substancji przypominającej niższe formy fauny. U istot tak powstałych można było stwierdzić proces oddychania, przemiany materii, ale analiza chemiczna nie wykazywała w nich nawet ładunku, cząsteczek białkowych ani w ogóle związków węgla. Wszelako prymitywne te formy były niczym w porównaniu z bogactwem kształtów i wspaniałą pseudofauną i florą, która pojawia się niekiedy w pewnych cielenych środowiskach. Środowiskami tymi są, stare mieszkania, przesycone emanacjami wielu żywotów i zdarzeń--zużyte atmosfery, bogate w specyficzne składniki ludzkich--rumowiska, obfitujące w humus wspomnień, tęsknot, jałowej nudy. Na takiej glebie owa pseudowegetacja kiełkowała szybko i powierzchownie, pasywno obficie i efemerycznie, pędziła krótkotrwałe generacje, które rozkwitały raptownie i wietnie, a żeby wnet zgasnąć zwiędła, tapety musz, były takich mieszkaniach już bardzo zużyte i znudzone nieustannie, wędrownie, po wszystkich kadencjach rytmów; nic dziwnego, że schodzi, na manowce dalekich, ryzykownych roje. Rdzeń mebli, ich substancja musi już być oziębła, zdegenerowana i podlegała występnym pokusom: wtedy na tej chorej, zmęczonej i zdziczałej glebie wykwita, jak piekna wysypka, nalot fantastyczny, kolorowa, bujająca pleśń.--Wiedz, panie--mówił ojciec mów--że w starych mieszkaniach bywają, pokoje, o których się zapomina. Nie odwiedzane miesiącami, wędrownie, w opuszczeniu między starymi murami i zdarza się, że zasklepiają, się w sobie, zarastają, cegły, i, raz na zawsze stracone dla naszej pamięci, powoli tracą, te światło, egzystencję. Drzwi, prowadzące do nich z jakiego podestu tylnych schodów, mogą, być tak dżido przeoczane przez domowników, a że wrastają, wchodzą, w cianę, która

zacierają ich ład w fantastycznym rysunku pękniętych rysów. --Wszedłem raz --
mówił ojciec mój --wczesnym rankiem na schyłku zimy, po wielu miesiącach
nieobecności, do takiego na wpół zapomnianego traktu i zdumiony byłem
wyglądem tych pokojów. Z wszystkich szpar w podłodze, z wszystkich
gzymsów i framug wystrzelały cienkie pędy i napełniały szare powietrze
migotliwym, koronkowym, filigranowym listowiem, a żółtym, gęstym, jakiej
cieplarni, pełnej szeptań, i nieśmiało, kołysała, jakiej fałszywej i błogiej
wiosny. Dookoła żółka, pod wieloramiennymi lampami, wzdłuż szaf chwiały się
kłępy delikatnych drzew, rozpryskiwały w górze w wietliste korony, w
fontanny koronkowego listowia, bijące aż pod malowane niebo sufitu
rozpylonym chlorofilem. W przyspieszonym procesie kwitnienia kiełkowały
w tym listowiu ogromne, białe i różowe kwiaty, pęczkowały w oczach,
bujają od rodka różowym mięszkiem i przelewały się przez brzośki, gubki,
płatkiki i rozpadają się w przedkwiśnięciu. --Byłem szczęśliwym --
mówił mój ojciec --z tego niespodzianego rozkwitu, który napełnił
powietrze migotliwym szelestem, żagodnym szumem, przesypującym się jak
kolorowe confetti przez cienkie różgi gałęzi. Widziałem, jak z drgania
powietrza, z fermentacji zbyt bogatej aury wydziela się i materializuje
to pospieszne kwitnienie, przelewanie się i rozpadanie fantastycznych
oleandrów, które napełniły pokój rzadkim, leniwym, nieśmiałym, wielkim,
różowym kićmi kwiatowym. --Nim zapadł wieczór --kończył ojciec --nie
było już ładnego wietnego rozkwitu. Cała żółta ta fatamorgana była
tylko mistyfikacją, wypadkiem dziwnej symulacji materii, która podszywa
się pod pozór życia. Ojciec mój był dnia tego dziwnie ożywiony,
spojrzenia jego, chytre, ironiczne spojrzenia, tryskały werwą i humorem.
Potem, nagle poważnie, znów rozpatrywał nieskończoną skalę form i
odcieni, jakie przybierała wielokształtna materia. Fascynowały go formy
graniczne, wątpliwe i problematyczne, jak ektoplazma somnambulików,
pseudomateria, emanacja kataleptyczna mózgu, która w pewnych wypadkach
rozrastała się z ust u pionego na cały stół, napełniała cały pokój, jako
bujające, rzadkie tkanki, astralne ciasto, na pograniczu ciała i ducha. --
Kto wie --mówił --ile jest cierpiących, okaleczonych, fragmentarycznych
postaci życia, jak sztucznie sklecone, gwoździami na gwałt zbite życie
szaf i stołów, ukrzyżowanego drzewa, cichych męczenników okrutnej
pomysłowości ludzkiej. Straszliwe transplantacje obcych i nienawidzących
się ras drzewa, skucie ich w jedną, nieszczęśliwą, osobowość starej,
miejscowej jest w bejcowanych słojach, żyłach i fladrach naszych
starych, zaufanych szaf. Kto rozpozna w nich stare, zheblowane,
wypolerowane do niepoznaki rysy, uśmiechy, spojrzenia! Twarz mego ojca,
gdy to mówił, rozszła się zamyślenia, lineatury, zmarszczki, stała się
podobna do ścianek i słoików starej deski, z której zheblowano wszystkie
wspomnienia. Przez chwilę myleli my, że ojciec popadnie w stan
drętwoty, który nawiedzał go czasem, ale ocknął się nagle, opamiętał i
tak cięgnął dalej: --Dawne, mistyczne plemiona balsamowały swych
umarłych. W ciany ich mieszkają były wprawione, wmurowane ciała, twarze:
w salonie stał ojciec --wypchany, wygarbowana żona-nieboszczka była
dywanem pod stołem. Znałem pewnego kapitana, który miał w swej kajucie
lampę-meluzynę, zrobioną przez malajskich balsamistów z jego
zamordowanej kochanki. Na głowie miała ogromne rogi jelenie. W ciszy
kajuty głowa ta, rozpięta między gałęziami rogów u stropu, powoli
otwierała rzęsy oczu; na rozchylonych ustach miała błonka języka,
pękająca od cichego szeptań. Głowonogi, żółwie i ogromne kraby,
zawieszane na belkach sufitu jako kandelabry i pajki, przebierały w tej

ciszy bez kołosa nogami, szty i szty na miejscu... Twarz mojego ojca przybrała naraz wyraz troski i smutku, gdy myli jego na drogach nie wiedząc jakich asocjacji przeszły do nowych przykładałów:--Czy mam przemilczeć mówię przyciszonym głosem--że brat mój na skutek dżugiej i nieuleczalnej choroby zamienił się stopniowo w zwój kiszek gumowych, że biedna moja kuzynka dniem i noc, nosiła go w poduszkach, nuciła, nieszczerze liwemu stworzeniu nieskończone kołysanki nocy zimowych? Czy może być smutniejszego niż człowiek zamieniony w kiskę hegarów,? Co za rozczarowanie dla rodziców, co za dezorientacja dla ich uczuć za rozwianie wszystkich nadziei, wiązanych z obiecującym młodzieńcem! A jednak wierna miłobiednej kuzynki towarzyszyła mu i w tej przemianie. - Ach! nie mogła już dłużej, nie mogła tego słuchoć-jęknęła Poldę przechyla, ciska na krze le.--Ucisz go, Adelo... Dziewczyna wstała, Adela podeszła do ojca i wyciągniętym palcem uczyniła ruch zaznaczający askotanie. Ojciec stropił się, zamilkł i zaczął, pełen przerażenia, cofać się tyłem przed kiwającym się palcem Adeli. Ta szła za nim cięgle, groziła mu jadowniczym palcem, i wypierała go krok za krokiem z pokoju. Paulina ziewnęła przeciwnie. Obie z Poldą, wsparte o siebie ramionami, spojrzały sobie w oczy z uśmiechem.

NEMROD Cały sierpień owego roku przebawiłem się z małym, kapitalnym pieskiem, który pewnego dnia znalazł się na podłodze naszej kuchni, niedoświadczony i pieszczony, pachnący jeszcze mlekiem i niemowlęcym, z nieufornym, okrągłym, dręczącym łebkiem, z łapkami jak u kreta rozkraczonymi na boki i z najdelikatniejszą, mięciutką, sierścią. Od pierwszego wejrzenia zdobyła sobie ta kruszynka życia cały zachwyt, cały entuzjazm chłopińskiej duszy. Z jakiego nieba spadł tak niespodzianie ten ulubieniec bogów, miłszy sercu od najpiękniejszych zabawek? I te stare, zgoła nieinteresujące pomywaczki wpadają, niekiedy na tak wietne pomysły i przynoszą, z przedmiotu cię--o całkiem wczesnej, transcendentalnej porannej godzinie--takiego oto pieska do naszej kuchni! Ach! było się jeszcze--niestety--nieobecny, nieurodzony z ciemnego fona snu, a już to szczerze cięziło się, już czekało na nas, niedoświadczony leżący na chłodnej podłodze kuchni, nie doceniony przez Adeli i domowników. Dlaczego nie obudzono mnie wczynie! Talerzyk mleka na podłodze wiadczył o macierzyńskich impulsach Adeli, wiadczył niestety także i o chwilach przeszłości, dla mnie na zawsze straconej, o rozkoszach przybranego macierzyństwa, w których nie brałem udziału. Ale przede mną, leżała jeszcze cała przyszłość! Jakże bezmiar do wiadczących, eksperymentów, odkrywających się teraz! Sekret życia, jego najistotniejsza tajemnica sprowadzona do tej prostszej, poręczniejszej i zabawkowej formy odsłaniała się tu nienasyconej ciekawości. Było to nadwyraz interesujące, miłe, właściwie tak, odrobinkę życia, tak, czystej wieczystej tajemnicy, w postaci tak zabawnej i nowej, budzącej nieskończone ciekawość i respekt sekretny swobodny, obcość, niespodzianą, transpozycję, tego samego wiatku życia, który i w nas był, na formę od naszej odmienną, zwierzęcą. Zwierzęta! cel nienasyconej ciekawości, egzemplifikacje zagadki życia, jakby stworzone po to, by człowiekowi pokazać człowieka, rozkładać jego bogactwo i komplikację na tysiącach kalejdoskopowych możliwościach, kaźdą, doprowadzoną, do jakiego paradoksalnego krańca, do jakiej wybujałości pełnej charakteru. Nieobcizone splotem egzotycznych interesów, młodych stosunki międzyludzkie, otwierało się serce pełne sympatii dla obcych emanacji

wiecznego życia, pełne miłosnej współpracy, ciekawo ci, która była zamaskowanym głosem samopoznania. Piesek był aksamitny, ciepły i pulsujący, małym, pospiesznym sercem. Miała dwa miłe pętki uszu, niebieskawe, młode oczka, różowe pyszczek, do którego można było włożyć palec bez żadnego niebezpieczeństwa, łapki delikatne i niewinne, z wzruszającymi, różowymi, brodaweczkami, z tyłu, nad stopami przednich nóg. Włożyła nimi do miski z mlekiem, czuły i niecierpliwy, chępczo napój różowym jęczmieniem, a żeby po nasyceniu się podnieść a nie mała, mordkę z kroplą mleka na brodzie i wycofała się niedość nie z kąpieli mlecznej. Chciał jego być niezgrabnym toczeniem się, bokiem na ukos w niezdecydowanym kierunku, po linii trochę pijanej i chwiejnej. Dominant, jego nastroju była jakaś nieokreślona i zasadnicza żądza sieroctwa i bezradno niezdolność do zapewnienia czymś pustki życia pomiędzy sensacjami posiłków. Objawiała się to bezplanowo ci, i niekonsekwencjami, ruchami, irracjonalnymi napadami nostalgii z żalosnym skomleniem i niemożnością ci, znalezienia sobie miejsca. Nawet jeszcze w głębi snu, w którym potrzebę oparcia się i przytulenia zaspokajają uśmieszki do tego własnej swej osoby, zwiniętej w kłębek drzewny--towarzyszyło mu poczucie osamotnienia i bezdomno ci. Ach, życie--młode i wspaniałe życie, wypuszczone z zaufanej ciemności ci, z przytulnego ciepła łona macierzystego w wielki i obcy, wietlany wiat, jakże kurczy się ono i cofa, jak wzdryga się zaakceptowałam imprezę, którą mi proponują--pełne awersji i zniechęcenia! Lecz z wolna mały Nemrod (otrzymał był to dumne i wojownicze imię) zaczyna smakować w życiu. Wyjątkowe opanowanie obrazem macierzystej prajedni ustępuje urokowi wielki ci. Wiat zaczyna na nowo nastawiać łapki: nieznaną a czarującą smak różnych pokarmów, czworobok porannego słońca na podłodze, na którym tak dobrze jest położyć się, ruchy własnych członków, własne łapki, ogonek, figlarnie wyzywają, cy do zabawy z samym sobą, pieszczoty ręki ludzkiej, pod którymi z wolna dojrzewa pewna swawolność awersyj, ca ciałem i rodzajem potrzebę zgłębia nowych, gwałtownych i ryzykownych ruchów--wszystko to przekupuje, przekonywa i zachęca do przyjęcia, do pogodzenia się z eksperymentem życia. I jeszcze jedno. Nemrod zaczyna rozumieć i to, co mu się tu podsuwa, mimo pozorów nowo ci jest w gruncie rzeczy czymś, co już było--było wiele razy--nieskończenie wiele razy. Jego ciało poznaje sytuacje, wrażenia i przedmioty. W gruncie rzeczy to wszystko nie dziwi go zbytnio. W obliczu każdej nowej sytuacji daje nura w swoje, pamięć w głębi, pamięć ciała, i szuka omackiem, gorączkowo--i bywa, że znajduje w sobie odpowiedni, reakcję już gotową, młodość, złoźon, w jego plazmie, w jego nerwach. Znajduje jakieś czyny, decyzje, o których sam nie wiedział, że już w nim dojrzały, że czekały na to, by wyskoczyły. Sceneria jego młodego życia, kuchnia z wonnymi ceburkami, ze ciekawymi o skomplikowanej i intrygującej woni, z kłapaniem pantofli Adeli, z jej hałasem liwym krztaniem się--nie straszy go wiecej. Przywykł uważyć, za swój, dom, zadomowił się w niej i poczęt rozwija w stosunku do niej niejasne poczucie przynależności ci, ojczyzny. Chyba że niespodzianie spadał na katastrofizm w postaci szorowania podłogi--obalenie praw natury, chłusty ciepłego żużla, podmywające wszystkie meble, i groźny szurgot szczotek Adeli. Ale niebezpieczeństwo mija, szczotka uspokojona i nieruchoma leży cicho w kącie, schowana podłoga pachnie miętą mokrym drzewem. Nemrod, przywrócony znowu do swych normalnych praw i do swobody na terenie własnym, czuje żywo, ochotę chwycić łebami stary koc na podłodze i targać nim z całej siły na prawo

i lewo. Pacyfikacja żywiołów napełnia go niewymownym, radością. Wtem staje jak wryty: przed nim, o jakie trzy kroki pieskie, posuwa się czarna maskara, potwór sunący szybko na pręcikach wielu pogmatwanych nóg. Do gębi wstrząsnęty Nemrod posuwa wzrokiem za skolem nym kursem błąszącym, czego owada, ledź w napięciu ten pęski, bezgłowy i lepy kadłub, niesiony niesamowicie, ruchliwie ci, pajęczych nóg. Co w nim na ten widok wzbiera, co dojrzewa, pęcznieje, czego sam jeszcze nie rozumie, niby jakiś gniew albo strach, lecz raczej przyjemny i potężony z dreszczem siły, samopoczucia, agresywno ci. I nagle opada na przednie łapki i wyrzuca z siebie gęś, jeszcze jemu samemu nie znany, obcy, całkiem niepodobny do zwykłego kwilenia. Wyrzuca go z siebie raz, i jeszcze raz, i jeszcze, cienkim dyszkantem, który się co chwila wykoleja. Ale nadaremnie apostrofuje owada w tym nowym, z nagłego natchnienia zrodzonym języku. W kategoriach umysłu karakoniego nie ma miejsca na tę tyradę i owad odbywa dalej swą, skolem, turę ku kłowi pokoju, w ród ruchów uwięconych odwiecznym karakonim rytuałem. Wszelako uczucia nienawi ci nie mają, jeszcze trwało ci i mocy w duszy pieska. Nowoobudzona radość życia przeistacza każde uczucie w wesołość. Nemrod szczeka jeszcze, lecz sens tego szczekania zmienił się niepostrzeżenie, stało się ono swoją, własną, parodią, pragnąc w gruncie rzeczy wystawić niewymownym, udatnie jej wietnej imprezy życia, pełnej pikanterii, niespodzianych dreszczyków i point.

PAN W kłocie między tylnymi cianami szopy i przybudówek był zaułek podwórza, najdalsza, ostatnia odnoga, zamknięta między komorą, wychodem i tylną cianą kurnika--głucha zatoka, poza którą, nie było już wyjścia. Był to najdalszy przyldek, Gibraltar tego podwórza, bijący rozpaczliwie głowami, w lepy parkan z poziomych desek, zamykający, i ostateczną cianą tego wiatu. Spod jego omszonych dyli wyciekała strużka czarnej, miedzianej wody, żyła gnijącego, tłustego błota, nigdy nie wysychająca - jedyna droga, która poprzez granice parkanu wyprowadzała w wiat. Ale rozpacz smrodliwego zaułka tak długo biła głowami, w tę zaporę, aż rozluźniła jedną, z poziomych, potężnych desek. My, chłopcy, dokonali my reszty i wyważyli, wysunęli ciężką, omszałą, deskę z osady. Tak zrobili my wyłom, otworzyli my okno na słońce. Stanęwszy nogami na desce, rzuconej jak most przez kałużę, mógł widać podwórza w poziomej pozycji precyzyjnie przez szparę, która wypuszczała go w nowy, przewiewny i rozległy wiat. Był tam wielki, zdziczały stary ogród. Wysokie grusze, rozłożyste jabłonie rosły tu z rzadka potężnymi grupami, obsypane srebrnym szelestem, kipiły, siatką, białyymi pożywkami. Bujna, zmieszana, nie koszona trawa pokrywała puszystym kołuchem falisty teren. Były tam zwykłe, trawiaste dęby, kowe z pierzastymi kitami kłosów; były delikatne filigrany dzikich pietruszek i marchwi; pomarszczone i szorstkie listki bluszczów i lepych pokrzyw, pachnące miętą; żyłkowate, błąszące, babki, nakrapiane rdzą, wystrzelające kłami grubej, czerwonej kaszy. Wszystko to, splecione i puszyste, przepojone było łagodnym powietrzem, podbite bękitnym wiatrem i napuszczone niebem. Gdy się leżało w trawie, było się przykrytym całą, bękitną, geografią, obłoków i płynących kontynentów, oddychało się całą, rozległą, mapą, niebios. Od tego obcowania z powietrzem liście i pędy pokryły się delikatnymi włoskami, miękim nalotem puchu, szorstką, szczyminą, haczków, jak gdyby dla chwytania i zatrzymywania przepływów tlenu. Ten nalot delikatny i biały spokrewniał liście z atmosferą, dawał im srebrzysty,

szary połysk fal powietrznych, cienistych zadumaæ miædzy dwoma bęyskami sfoæca. A jedna z tych ro lin, zæta i peþna mlecznego soku w bladych fodygach, nadæta powietrzem, pædziæta ze swych pustych pædów juæ samo powietrze, sam puch w kształcie pierzastych kul mleczowych rozsypywanych przez powiew i wsi,kaj,cych bezgto nie w bækitn,, ciszæ. Ogród byæ rozległy i rozgaæziony kilku odnogami i miaæ rûne strefy i klimaty. W jednej stronie byæ otwarty, peþen mleka niebios i powietrza, i tam pod cielaæ niebu co najmiækszy,, najdelikatniejszy,, najpuszystszy,, zieleæ. Ale w miaræ jak opadaæ w gæ,,b dæugiej odnogi i zanurzaæ siæ w cieæ miædzy tyln,, cianæ opuszczonej fabryki wody sodowej, wyra nie pochurniaæ, stawaæ siæ opryskliwy i niedbaæy, zapuszczaæ siæ dziko i niechlujnie, sroæyæ siæ pokrzywami, zjeæ bodiakami, parszywiaæ chwastem wszelkim, aæ w samym koæcu miædzy cianami, w szerokiej prostok,,tnej zatoce traciæ wszelk,, miaræ i wpadaæ w szaæ. Tam to nie byæ juæ sad, tylko paroksyzm szaleæstwa, wybuch w ciekto ci, cyniczny bezwstyd i rozpusta. Tam, rozbewione, daj,c upust swej pasji, panoszyæ siæ puste, zdziczaæe kapusty fopuchów--ogromne wied my, rozdziewaj,,ce siæ w biaæy dzieæ ze swych szerokich spódnic, zrzucaj,,c je z siebie, spódnica za spódnic,, aæ ich wzdæte, szelestne, dziurawe fuchmany oszalaæymi pæatami grzebaæy pod sob,, kæliwie to plemiæ bækarcie. A æaræocne spódnice puchæy i rozpychaæy siæ, piætrzyæy siæ jedno na drugich, rozpieraæy i nakrywaæy wzajem, rosn,,c razem wzdæet,, mas,, blach listnych, aæ pod niski okap stodoæy. Tam to byæo, gdzie go ujrzaæ jedyny raz w æyciu, o nieprzytomnej od æaru godzinie poæudnia. Byæa to chwila, kiedy czas, oszalaæy i dziki, wyæamuje siæ z kieratu zdarzeæ i jak zbiegæy wæææga pædzi z krzykiem na przeæaj przez pola. Wtedy lato, pozbawione kontroli, ro nie bez miary i rachuby na caæej przestrzeni, ro nie z dzikim impetem na wszystkich punktach, w dwõnasõ, w trõnasõ, w inny jaki , wyrodny czas, w nieznan,, dymensjæ, w obæed. O tej godzinie opanowywaæ mnie szaæ fowienia motyli, pasja cigania tych migoc,,cych plamek, tych bæednych, biaæych pæatków, træes,,cych siæ w rozognionym powietrzu niedoæænym gzygzakiem. I zdarzyæo siæ wówczas, æe kta z tych jaskrawych plamek rozpadæa siæ w locie na dwie, potem na trzy--i ten drgaj,,cy, o lepiaæ,co biaæy trõpunkt wiææ mnie, jak bæedny ognik, przez szaæ bodiaków, pal,,cych siæ w sfoæcu. Dopiero na granicy fopuchów zatrzymaæem siæ, nie mieæ,c siæ pogr,,æyæw to gæuche zapadlisko. Wtedy nagle ujrzaæem go. Zanurzony po pachy w fopuchach, kucaæ przede mn,,. Widziaæem jego grube bary w brudnej koszuli i niechlujny stræp surduta. Przyczajony jak do skoku, siedziaæ tak--z barami jakby wielkim ciææarem zgarbionymi. Ciaæo jego dyszaæo z natææenia, a z miedzianej, bæyszcz,,cej w sfoæcu twarzy laæ siæ pot. Nieruchomy, zdawaæ siæ ciææko pracowaæmocowaæsiæ bez ruchu z jakim ogromnym brzemieniem. Staæem, przygwoædæony jego wzrokiem, który mnie uj,,æ jakby w kleszcze. Byæa to twarz wææægi lub pijaka. Wiecheæ brudnych kæaków wicherzyæ siæ nad czoæem wysokim i wypukłym jak buæa kamienna, utoczona przez rzekæ. Ale czoæo to byæo skræcone w gæebokie bruzdy. Nie wiadomo, czy bõ, czy pal,,cy æar sfoæca, czy nadludzkie natææenie wkræciæo siæ tak w æe twarz i napiææo rysy do pækniæcia. Czarne oczy wbiæy siæ we mnie z natææeniem najwyæszej rozpaczy czy bðu. Te oczy patrzyæy na mnie i nie patrzyæy, widziaæy mnie i nie widziaæy wcale. Byæy to pæekaj,,ce gaæki, wytææone najwyæszym uniesieniem bðu albo dzik,, rozkosz,, natchnienia. I nagle z tych rysów, naci,,gniætych do pækniæcia, wyboczyæ siæ jaki straszny, zaæamany cierpieniem grymas i

ten grymas rósł, brał w siebie tamten obłęd i natchnienie, pęczniał nim, wybaczał się coraz bardziej, a żył wyłamał się ryczącym, charczącym kaszlem miechu. Do gębi wstrząsnął, widziałem, jak huczącym miechem z potężnych piersi, dęgnął się powoli z kucek i zgarbiony jak goryl, z rękoma w opadających łachmanach spodni, uciekał, człapiąc przez łopocące blachy łopuchów, wielkimi skokami--Pan bez fletu, cofając się w popłochu do swych ojczystych kniei.

PAN KAROL Po południu w sobotę mój wuj, Karol, wdowiec sędziwy, wybierał się pieszo do letniska, oddalonego o godzinę drogi od miasta, do żony i dzieci, które tam na wyczasach bawiły. Od czasu wyjazdu żony mieszkanie było nie sprzątnięte, choć nie za cielane nigdy. Pan Karol przychodził do mieszkania późno, sponiewierany, spustoszony przez nocne pohulanki, przez które go wlokły te dni upalne i puste. Zmęczony, chłodny, dziko rozrzucony po cielu był dla wówczas jak, błog, przystani, wysp, zbawcz, do której przypadał ostatkiem siły jak rozbitek, miotany wiele dni i nocy przez wzburzone morze. Omaczany, w ciemno ci zapadał gdzieś między białawe chmury, pasma i zwały chłodnego pierza i spał tak w niewiadomym kierunku, na wspaniałym, na dół, wbitym ciemieniem w puszysty miłośz po cieli, jak gdyby chciał we nie przewiercić przewodną wskroś te rosnące nocne potężne masy pierzyn. Walczył we nie z t, po cielu, jak pływak z wodą, ugniatał ją, i miesił ciętym, jak ogromną, dzieł ciasta, w którą, się zapadał, i budził się o szarym wicie zdyszany, obłany potem, wyrzucony na brzeg tego stosu po cieli, którego zmóc nie mógł w cielkich zapasach nocnych. Tak na wpół wyrzucony z toni snu, wisiał przez chwilę nieprzytomny na krawędzi nocy, chwytając piersiami powietrze, a po cielu rosła dokoła niego, puchła i nakisała--i zarastała go znowu zwałem cielkiego, białawego ciasta. Spał tak do późnego przedpołudnia, podczas gdy poduszki układały się w wielką, białą, płaską, równinę, po której wędrował uspokojony sen jego. Tymi białymi go cięciami powracał powoli do siebie, do dnia, do jawy--i wreszcie otwierał oczy, jak piścy pasażer, gdy pociąg zatrzymuje się na stacji. W pokoju panował odstały półmrok z osadem wielu dni samotno ci i ciszy. Tylko okno kipiało od rannego rojowiska much i stary płonęły jaskrawo. Pan Karol wyziewał ze swego ciała, z gębi jam cielesnych, resztki dnia wczorajszego. To ziewanie chwytano go tak konwulsyjnie, jak gdyby chciał go odwrócić nice. Tak wyrzucał z siebie ten piasek, te cielary--nie strawione resztki dnia wczorajszego. Ułżywszy sobie w ten sposób, i swobodniejszy, wciągnął do notesu wydatki, kalkulował, obliczał i marzył. Potem leżał długo nieruchomy, z szklanymi oczyma, które były koloru wody, wypukłe i wilgotne. W wodnistym półmroku pokoju, rozjaśnionym refleksem dnia upalnego za storami, oczy jego jak maleńkie lusterka odbijały wszystkie blyszczące przedmioty: białe plamy słońca w szparach okna, złoty prostokąt stor, i powtarzały, jak kropla wody, całe pokój z ciz, dywanów i pustych krzesł. Tymczasem dzieło za storami huczało coraz potężniej bzykaniem much oszalałych od słońca. Okno nie mogło pomieścić białego pożaru i stary omdlewały od jasnych falowań. Wtedy wywlekał się z po cieli i siedział jeszcze jakiś czas na łóżku, stękając bezwiednie. Jego trzydziestokilkolletnie ciało zaczynało skłaniać się do korpulencji. W tym organizmie, nabrzmiwającym tłuszczeniem, znękanym od nadużytki, ale wciąż wzbierającym bujnymi sokami, zdawał się teraz zwolna dojrzewać w tej ciszy jego przyszły los.

Gdy tak siedział w bezmylnym, wegetatywnym osłupieniu, cały zamieniony w krzyżenie, w respirację, w głębokie pulsowanie soków, rosła w głębi jego ciała, spoconego i pokrytego włosami w rozlicznych miejscach, jaka niewiadoma, nie sformułowana przyszła ańby potworna naraź, wyrastająca fantastycznie w nieznanym wymiarze. Nie przerażała się jej, gdy czuł już swój, tożsamość tym niewiadomym a ogromnym, które miało nadzieję iść razem z nim bez sprzeciwu, w dziwnej zgodzie, zdrętwiały spokojnie, groźnie, odpoznając przyszłego siebie w tych kolosalnych wykwitach, w tych fantastycznych spierzeniach, które przed jego wzrokiem wewnętrznym dojrzewały. Jedno jego oko lekko wtedy zbaczało na zewnątrz, jak gdyby odchodziło w inny wymiar. Potem z tych bezmylnych otumanieni z tych zatraconych dali powracał znów do siebie i do chwili; widział swe stopy na dywanie, twardy i delikatny jak u kobiety, i powoli wyjmował z łóżka spinki z mankietów dziennej koszuli. Potem szedł do kuchni i znajdował tam w cieniu wiaderko z wodą, krzyżek cichego, czujnego zwierciadła, które na tam czekało--jedyna żywa i wiedząca istota w tym pustym mieszkaniu. Nalewał do miednicy wody i kosztowała skórę, jej młodej i odstałej, słodkawej mokro ci. Długo i starannie robił toaletę, nie spiesząc się i w czasie pauzy między poszczególnymi manipulacjami. To mieszkanie, puste i zapuszczone, nie uznawało go, te meble i ciany ledziły za nim z milczącym krytykiem. Czując się, wchodził w ich ciszę, jak intruz w tym podwodnym, zatopionym kręstwie, w którym płynął inny, odrębny czas. Otwierając drzwi szuflady, miał uczucie zlodzieja i chodził mimo woli na palcach, bojąc się obudzić żywe i nadmierne echo, czekające drażliwie na najłżejsze, przyczynę, by wybuchnąć a gdy wreszcie, idąc cicho od szafy do szafy, znajdował kawałek po kawałku wszystko potrzebne i kończył toaletę w ród tych mebli, które tolerowały go w milczeniu, z nieobecnością, i wreszcie był gotów, to stojąc na odejściu z kapeluszem w ręku, czując się zażenowany, że i w ostatniej chwili nie mógł znaleźć sztućca, które by rozwiązało to wrogie milczenie, i odchodził ku drzwiom zrezygnowany, zwolna, ze spuszczonej głową--gdy w przeciwną stronę oddalał się tymczasem bez po piechu--w głębi zwierciadła--kto odwrócony na zawsze plecami--przez pustą, amfiteatr pokojów, które nie istniały.

SKLEPY CYNAMONOWE W okresie najkrótszych, sennych dni zimowych, ujętych z obu stron, od poranka i od wieczora, w futrzane krawędzie zmierzchów, gdy miasto rozgałęziało się coraz głębiej w labirynty zimowych nocy, z trudem przywoływane przez króki wit do opamiętania, do powrotu--ojciec mógł być już zatracony, zaprzyszczony tamtej sferze. Twarz jego i głowa zarastały wówczas bujnie i dziko siwym włosami, sterczącym nieregularnie wiechciami, szczecinami, długimi pędzlami, strzelającymi z brodawek, z brwi, z dziurki od nosa--co nadawało jego fizjonomii wygląd starego, nastroszonego lisa. Wóch jego i słuch zaostrował się niepomiarownie i znałby po grze jego milczącym i napiętej twarzy, że za po rednictwem tych zmysłów pozostaje on w ciągłym kontakcie z niewidzialnym światem ciemnych zakamarków, dziur mysich, zmurszałych przestrzeni pustych pod podłogą, i kanałów kominowych. Wszystkie chroboty, trzaski nocne, tajne, skrzypienie życia podłogi miały w nim nieomyślnego i czujnego dostrzegacza, szpiega i współspiskowca. Absorbował go to w tym stopniu, że pogrzebał się zupełnie w tej niedostępnej dla nas sferze, z której nie próbował zdawać nam sprawy.

Nieraz musiał strzepywać palcami i miać się cicho do siebie samego, gdy te wybryki niewidzialnej sfery stawały się zbyt absurdalne; porozumiewał się wówczas spojrzeniem z naszym kotem, który również wtajemniczony w ten wiat, podnosił sw., cyniczn., zimn., porysowan., przegami twarz, mrużąc z nudów i obojętno ci sko nie szparki oczu. Zdarzało się podczas obiadu, że w ról jedzenia odkładał nagle noż i widelec i z serwet, zawiązan., pod szyję, podnosił się kocim ruchem, skradał na brzuchach palców do drzwi s.,siedniego, pustego pokoju i z największą, ostrożnością, zaglądał przez dziurkę od klucza. Potem wracał do stołu, jakby zawstydzony, z zakłopotanym uśmiechem, w ról mruknienia niewyraźnych mamrotów, odnoszących się do wewnętrznego monologu, w którym był pogromiony. A żeby mu sprawić pewną, dystrakcję i oderwać go od chorobliwych dociekań, wyściagała go matka na wieczorne spacerki, na które szedł, milcząc, bez oporu, ale i bez przekonania, roztargniony i nieobecny duchem. Raz nawet poszli my do teatru. Znaleli my się znowu w tej wielkiej, le o wietlonej i brudnej sali, pełnej sennego gwaru ludzkiego i bezładnego zamętu. Ale gdy przebrnęli my przez ciężką ludzką, wynurzyła się przed nami olbrzymia bladoniebieska kurtyna, jak niebo jakiego innego firmamentu. Wielkie, malowane maski różowe, z wydzielnymi policzkami, nurzały się w ogromnym płóciennym przestworzu. To sztuczne niebo szerzyło się i płynęło wzdłuż i w poprzek, wzbierając ogromnym tchem patosu i wielkich gestów, atmosfer., tego wiatu sztucznego i pełnego blasku, który budował się tam, na dudniących rusztowaniach sceny. Dreszcz płynący przez wielkie oblicze tego nieba, oddech ogromnego płótna, od którego rosły i ożywały maski, zdradzały iluzorycznie tego firmamentu, sprawiały że drganie rzeczywistości, które w chwilach metafizycznych odczuwamy jako migotanie tajemnicy. Maski trzepotały czerwonymi powiekami, kolorowe wargi szeptały co bezgłośnie i wiedziałem, że przyjdzie chwila, kiedy napięcie tajemnicy dojdzie do zenitu i wtedy wezbrane niebo kurtyny pęknie naprawdę, uniesie się i ukaże rzeczy niesłychane i olniewające. Lecz nie było mi dane doczekać tej chwili, albowiem tymczasem ojciec zaczął zdradzać pewne oznaki zaniepokojenia, chwycił się za kieszenie i wreszcie oświadczył, że zapomniał portfela z pieniędzmi i ważnymi dokumentami. Po krótkiej naradzie z matką, w której uczciwość Adeli została poddana pospiesznej, ryczałkowej ocenie, zaproponowano mi, że bym wyruszył do domu na poszukiwanie portfela. Zdaniem matki do rozpoczęcia widowiska było jeszcze wiele czasu i przy mojej zwinności mogłem na czas powrócić. Wyszedłem w noc zimową, kolorową, od iluminacji nieba. Była to jedna z tych jasnych nocy, w których firmament gwiazdny jest tak rozległy i rozgałęziony, jakby rozpadł się, rozłamał i podzielił na labirynt odrębnych niebios, wystarczających do obdzielenia całego miesiąca nocy zimowych i do nakrycia swymi srebrnymi i malowanymi kłozami wszystkich ich nocnych zjawisk, przygód, awantur i karnawałów. Jest lekkomyślny i nie do darowania wysyłać tak, noc młodego chłopca z misją, ważną, i pilną, albowiem w jej pół wietle wielokrotniej, się, pł., cz., i wymieniają, jedno z drugimi ulice. Otwierają, się w gębi miasta, żeby tak rzec, ulice podwójne, ulice sobowtóry, ulice kłamliwe i zwodne. Oczarowana i zmylona wyobraźnia wytwarza złudne plany miasta, rzekomo dawno znane i wiadome, w których te ulice mają, swe miejsce i nazwę, a noc w niewyczerpanej swej płodności ci nie ma nic lepszego do roboty, jak dostarczać ci, nowych i urojonych konfiguracji. Te kuszenia nocy zimowych zaczynają, się zazwyczaj niewinnie od chętki skrócenia sobie

drogi, użycia niezwykłego lub prędszego przejeżdżając. Powstań, ponieważ kombinacje przeciwności zawiętej w dróży jak, nie wypróbowanej, przecznicy. Ale tym razem zaczął się inaczej. Uszedłszy parę kroków, spostrzegłem, że jestem bez przesady. Chciałem zawrócić, lecz po chwili wydało mi się to niepotrzebne, straciłem czas, gdyż noc nie była wcale zimna, przeciwnie - porażona strugami dziwnego ciepła, tchnieniami jakiej fałszywej wiosny. Nie skurczył się w baranki białe, w niewinne i słodkie runo, które pachniało fiołkami. W takie same baranki rozpuścił się niebo, w którym księżyc dwójką i trójką, demonstrując w tym wielokrotnieniu wszystkie swe fazy i pozycje. Niebo obnażyło tego dnia wewnętrzne, swobodne konstrukcje w wielu jakby anatomicznych preparatach, pokazujących spirale i słoje wiatru, przekroje seledynowych brył nocy, plazmę przestworzy, tkankę rojeń nocnych. W takiej nocy nie podobna iść podwalem ani z adnami, z ciemnych ulic, które są, odwrotność, stronami, niejako podszewką, czterech linii rynku, i nie przypomnieć sobie, że o tej porze bywają, czasem jeszcze otwarte niektóre z owych osobliwych a tyle nocnych sklepów, o których zapomina się w dniu zwyczajnym. Nazywam je sklepami cynamonowymi dla ciemnych boazeryj tej barwy, którymi są wyłożone. Te prawdziwie szlachetne handle, w północy otwarte, były zawsze przedmiotem moich gorących marzeń. Stało o wietlone, ciemne i uroczyste ich wnętrza pachniały gębkim zapachem farb, laku, kadzidła, aromatem dalekich krajów i rzadkich materiałów. Mogłem tam znaleźć ognie bengalskie, szkatułki czarodziejskie, marki krajów dawno zaginionych, chińskie odbijanki, indygo, kalafonium z Malabaru, jaja owadów egzotycznych, papug, tukanów, żywe salamandry i bazyliżki, korzenie Mandragory, norymberskie mechanizmy, homunculusy w doniczkach, mikroskopy i lunety, a nade wszystko rzadkie i osobliwe księżki, stare folianty pełne przedziwnych rycin i oszłamiających historij. Pamiętam tych starych i pełnych godno ci kupców, którzy obsługiwali klientów ze spuszczonej oczyma, w dyskretnym milczeniu, i pełni byli miłością i wyrozumienia dla ich najtajniejszych życzeń. Ale nade wszystko była tam jedna księgarnia, w której raz oglądałem rzadkie i zakazane druki, publikacje tajnych klubów, zdejmując zasłonę z tajemnic dręczących i upojnych. Tak rzadko zdarzało się sposobno odwiedzania tych sklepów-- i w dodatku z małym, lecz wystarczającym, sumieniem w kieszeni. Nie można było pominąć okazji mimo wależno ci misji powierzonej naszej gorliwości. Trzeba było zapuścić się w mego obliczenia w boczną, uliczkę, minąłby albo trzy przecznice, a żeby osiągnąć ulicę nocnych sklepów. To oddalało mnie od celu, ale można było nadrobić spóźnienie, wracając drogą, na flupy Solne. Uskrzydłony pragnieniem zwiedzenia sklepów cynamonowych, skręciłem w wiadomą mi ulicę i leciałem wiocej, aniżeli szedłem, bacznie, by nie zmylić drogi. Tak minęłam już trzeci, czy czwartą, przecznicę, a upragnionej ulicy wcielić nie było. W dodatku nawet konfiguracja ulic nie odpowiadała oczekiwanemu obrazowi. Sklepów ani ladu. Szedłem ulicą, której domy nie miały nigdzie bramy wchodowej, tylko okna szczelnie zamknięte, lepe odbłaskiem księżycy. Po drugiej stronie tych domów musi prowadzić ciwa ulica, od której te domy są dostępne--myślałem sobie. Z niepokojem przyspieszałem kroku, rezygnując w duchu z myśli zwiedzenia sklepów. Byle tylko wydostać się stąd przedko w znane okolice miasta. Zbliżyłem się do wylotu, pełen niepokojem, gdzie też ona mnie wyprowadzi. Wszedłem na szeroki, rzadko zabudowany gościec, bardzo długi i prosty. Owiało mnie od razu oddech szerokiej przestrzeni. Stały tam przy ulicy albo w gębi ogrodów malownicze wille,

ozdobne budynki bogaczy. W przerwach między nimi widniały parki i mury sadów. Obraz przypominał z daleka ulicę Leszniąską, w jej dolnych i rzadko zwiedzanych okolicach. Wiatro księżycy, rozpuszczone w tysiącnych barankach, w fuskach srebrnych na niebie, było blade i tak jasne jak w dzień--tylko parki i ogrody czerniały w tym srebrnym krajobrazie. Przyjrzawszy się bacznie jednemu z budynków, doszedłem do przekonania, że mam przed sobą, tylną, i nigdy nie widzianą, stronę gmachu gimnazjalnego. Właśnie nie dochodziłem do bramy, która ku memu zdziwieniu była otwarta, sięgała o wietlona. Wszedłem i znalazłem się na czerwonym chodniku korytarza. Miałem nadzieję, że zdołam nie spostrzeżony przekraść się przez budynek i wyjść przednią, bramą, skracać sobie znakomicie drogę. Przypomniałem sobie, że o tej późnej godzinie musi być w sali profesora Arendta odbywać się jedna z lekcji nadobowickich, prowadzona w północ, na którą zbierali się uczniowie zimowców, porównanie szlachetnym zapałem do rysunkowych, jakim natchnięt nas ten znakomity nauczyciel. Mała gromadka pilnych gubiła się prawie w wielkiej ciemnej sali, na której ścianach ogromniały i łamały się cienie naszych głów, rzucane od dwóch małych wieczek północnych w szybkich butelek. Prawdziwi, niewiele my podczas tych godzin rysowali i profesor nie stawiał zbyt dużych wymagań. Niektórzy przynosili sobie z domu poduszki i układali się na ławkach do powierzchownej drzemki. I tylko najpilniejsi rysowali pod samą, wiec, w złotym kręgu jej blasku.

Czekali my zazwyczaj długo na przyjście profesora, nudzący się w ról sennych rozmów. Wreszcie otwierały się drzwi jego pokoju i wchodziły mały, z piórkami, brodem, pełen ezoterycznych uśmiechów, dyskretnych przemyśleń i aromatu tajemnicy. Szybko zaciskał za sobą, drzwi gabinetu, przez które w momencie otworzenia tłoczyła się za jego głowę, cięba gipsowych cieni, fragmentów klasycznych, bolesnych Niobid, Danaid i Tantalidów, cały smutny i jałowy Olimp, widoczny od lat w tym muzeum gipsów. Zmierzchniętego pokoju mętniało i za dnia i przelewał się sennie od gipsowych marzeń, pustych spojrzeń, blednych owali i zamyślenia odchodzących w nico. Lubili my nieraz podstępnie pod drzwiami--ciszy, pełnej westchnień i szeptań tego kruszej, czego w pajęczynach rumowiska, tego rozkładającego się w nudzie i monotonii zmierzchu bogów.

Profesor przechadzał się dostojnie, pełen namaszczenia, wzdłuż pustych ławek, w ról których rozrzucone małymi grupkami, rysowali my co w szarym odbłasku nocy zimowej. Było zacisznie i sennie. Gdzieś gdzieś koledzy moi układali się do snu. wieczki powoli dogasały w butelkach. Profesor pogrzeł się w gębok, witrynie, pełnej, starych foliów, staromodnych ilustracji, sztychów i druków. Pokazywał nam w ról ezoterycznych gestów stare litografie wieczornych pejzaży, gęstwin nocne, aleje zimowych parków, czerniejące na białych drogach księżycowych. W ról sennych rozmów upływał niespostrzeżenie czas i biegł nierównomiernie, robiąc niejako wężę w upływie godzin, pożykając kędy całe puste interwały trwania, Niespostrzeżenie, bez przejścia, odnajdywali my nasz, czeredę już w drodze powrotnej na białej od niego cieńce szpalery, flankowanej czarną, suchą, gęstwiną, krzaków. Szli my wzdłuż tego włochoatego brzegu ciemno ci, ocierając się o niedowiedzie futro krzaków, trzaskających pod naszymi nogami w jasną, noc bezksiężycową, w mleczny, fałszywy dzień, daleko po północy. Rozprószona biel tego wiatra, młocna ze niegu, z bladego powietrza, z mlecznych przestworzy, była jak szary papier sztychu, na którym gębok, czernie, plątały się kreski i szrafirunki gęstych zarośli. Noc powtarzała teraz

głęboko po północy te serie nokturnów, sztychów nocnych profesora Arendta, kontynuowała jego fantazje. W tej czarnej gęstwinie parku, we wfochatej sier ci zaro li, w masie kruchego chrustu były miejscami nisze, gniazda najgłębszej puszystej czarno ci, pełne pl.,taniny, sekretnych gestów, bezładnej rozmowy na migi. Było w tych gniazdach zacisznie i ciepło. Siadali my tam na letnim miśkimm niegu w naszych wfochatych pfaszczach, zajadaj,c orzechy, których pełna była leszczynowa ta gęstwiną w ow,, wiosenn,, zim. Przez zaro la przewijały się bezgło nie kuny, łasice i ichneumony, futrzane, wEs,,ce zwierz,,tka, mierz,,ce kołuchem, wydłużone, na niskich łapkach. Podejrzewali my, że były miśdzy nimi okazy gabinetu szkolnego, które choawypatroszone i łysiej,,ce, uczuwały w tce biał,, noc w swym pustym wnętrzu głoś starego instynktu, głoś rui, i wracały do matecznika na kraki, zładny żywot. Ale powoli fosforescencja wiosennego niegu mćtniała i gasła i nadchodziła czarna i gęsta oana przed witem. Niektórzy z nas zasypiali w ciepłym niegu, inni domacywali się w gęstwinie bram swych domów, wchodzili omackiem do ciemnych wnętrzy, w sen rodziców i braci, w dalszy ci,,g głębokiego chrapania, które doganiali na swych spónionych drogach. Te nocne seanse pełne były dla mnie tajemnego uroku, nie mogłem i teraz pomin,,æ sposobno ci, by nie zagl,,dn,,æna moment do sali rysunkowej, postanawiaj,,c, że nie pozwolę się tam zatrzymać tuż jej nad krak,, chwilk. Ale wstępuj,,c po tylnych, cedrowych schodach, pełnych d wicznego rezonansu, poznałem, że znajduję się w obcej, nigdy nie widzianej stronie gmachu. Najłejszy szmer nie przerywał tu solennej ciszy. Korytarze były w tym skrzydle obszerniejsze, wystane pluszowym dywanem i pełne wytworno ci. Małe, ciemno pton,,ce lampy wieciły na ich zagięciach. Min,,wszy jedno takie kolano, znalazłem się na korytarzu jeszcze wicniejszym, strojnym w przepych pałacowy. Jedna jego ciana otwierała się szerokimi, szklanymi arkadami do wnętrza mieszkania. Zaczynała się tu przed oczyma dżuga amfilada pokojów, biegn,,cych w gł,,b i urz,,dzonych z ol niewaj,,c, wspaniało ci,,. Szpalerem obiajedwabnych, luster zfoconych, kosztownych mebli i kryształowych paj,,ków biegł wzrok w puszysty mi,,sz tych zbytkownych wnętrzy, pełnych kolorowego wirowania i migotliwych arabesek, pl,,cz,,cych się girland i p,,czkuj,,cych kwiatów. Głęboka cisza tych pustych salonów pełna była tylko tajnych spojrzeæ, które oddawały sobie zwierciadła, i popłochu arabesek, biegn,,cych wysoko fryzami wzdłuż cian i gubi,,cych się w sztukateriach biały sufitów. Z podziwem i czci,, stałem przed tym przepychem, domy lałem się, że nocna moja eskapada zaprowadziła mnie niespodzianie w skrzydło dyrektora, przed jego prywatne mieszkanie. Stałem przygwołdżony ciekawo ci,, z bij,,cym sercem, gotów do ucieczki za najłejszym szmerem. Jakże mógłbym, przyłapany, usprawiedliwić moje nocne szpiegowanie, moje zuchwałe w cibstwo? W którym z głębokich pluszowych foteli mogła, nie dostrzeżona i cicha, siedzieć óreczka dyrektora i podnie ænagle na mnie oczy znad ksi,,żki--czarne, sybiliæskie, spokojne oczy, których spojrzenia nikt z nas wytrzymaænie umiał. Ale cofn,,æsię w połowie drogi, nie dokonawszy powzićtego planu, poczytałbym był sobie za tchózostwo. Zreszt,, głęboka cisza panowała dookoła w pełnych przepychu wnętrzach, o wietlnych przyamionym wiatłem nie okre lonej pory. Przez arkady korytarza widziałem na drugim końcu wielkiego salonu duże, oszklone drzwi, prowadz,,ce na taras. Było tak cicho wokoło, że nabrałem odwagi. Nie wydawało mi się to poł,,czone ze zbyt wielkim ryzykiem, zej æ z paru stopni, prowadz,,cych do poziomemu sali, w kilku susach przebiegn,,æ

wielki, kosztowny dywan i znaleźsię na tarasie, z którego bez trudu dostać się mogłem na dobrze mi znane, ulice. Uczyniłem tak. Zeszedłszy na parkiety salonu, pod wielkie palmy, wystrzelaję tam z wazonów aż do arabesek sufitu, spostrzegłem, że znajduję się już w końcu na gruncie neutralnym, gdyż salon nie miał wcale przedniej ściany. Był on rodzajem wielkiej loggii, części się przy pomocy paru stopni z placem miejskim. Była to niejako odnoga tego placu i niektóre meble stały już na bruku. Zbiegłem z kilku kamiennych schodów i znalazłem się znów na ulicy. Konstelacje stały już stromo na głowie, wszystkie gwiazdy przekreśliły się na drugą stronę, ale księżyc, zagrzebany w pierzyny obłoczków, które rozświetlał swym, niewidzialnym, obecnością, zdawał się mieścić przed sobą, jeszcze nieskończony, drogę i, zatopiony w swych zawiłych procederach niebieskich, nie myślał o wicie. Na ulicy czerniało kilka dorożek, rozjechanych i rozklekotanych jak kalekie, drzemące kraby czy karakony. Woźnica nachylił się z wysokiego kozła. Miała twarz drobną, czerwona, i dobroduszną. --Pojedziemy, paniczu? --zapytał. Powóz zadygotał we wszystkich stawach i przegubach swego wieloczątkowego ciała i ruszył na lekkich obręczach. Ale kto w taką noc powierza się kaprysom nieobliczalnego dorożkarza? W rękolekocie szprych, w rękodudnienia pudła i budy nie mogłem porozumieć się z nim co do celu drogi. Kiwał na wszystko niedbale i pobłażliwie głową, i pod pieczywał sobie, jadąc drogą, okręconą, przez miasto. Przed jakim szynkiem stała grupa dorożkarzy, kiwając na siebie przyjaźnie rękami. Odpowiedział im co radośnie, po czym nie zatrzymując pojazdu, rzucił mi lejce na kolana, spuścił się z kozła i przytrzymał do gromady kolegów. Koń, stary mędry koń dorożkarski, oglądając się pobieżnie i pojechał dalej jednostajnym, dorożkarskim kłusem. W końcu w końcu ten budził zaufanie --wydawał się mędrzejszy od woźnicy. Ale powozienie umiałem --trzeba było zdać na jego wolę. Wjechaliśmy na podmiejskie, ulice ujęte, z obu stron w ogrody. Ogrody te przechodziły z wolną, w miarę posuwania się, w parki wielkodrzewne, a te w lasy. Nie zapomnę nigdy tej jazdy wietlistej w najjaśniejszą noc zimową. Kolorowa mapa niebios wyogromniała w kopułce niezmierną, na której spoczęły się fantastyczne lądy, oceany i morza, porysowane liniami wirów i prądów gwiazdnych, wietlistymi liniami geografii niebieskiej. Powietrze stało się lekkie do oddychania i wietlane jak gaza srebrna. Pachniało fiołkami. Spod wełnianego jak białe karakuły niegu wychylały się anemony drzewce, z iskrą, wiatła księżycowego w delikatnym kielichu. Las cały zdawał się iluminować się, cznymi wiatłami, gwiazdami, które rzęsił cie ronił grudniowy firmament. Powietrze dyszało jak, tajnym, wiosnym, niewypowiedzianym, czysto cię, niegu i fiołków. Wjechaliśmy w teren pagórkowaty. Linie wzniesienia, włośchatych nagimi różgami drzew, podnosiły się jak błogie westchnienia w niebo. Ujrzałem na tych szczytach liwych zboczach całe grupy wędrowników, zbierających w rękę mchu i krzaków opadłe i mokre od niegu gwiazdy. Droga stała się stroma, koń po lizgiwał się i z trudem ciągnął pojazd, grający wszystkimi przegubami. Byłem szczytliwym. Pierś moja wchłaniała tę błogą, wiosną powietrza, wiejącą gwiazd i niegu. Przed pierś, konia zbierał się wał białej piany nieśnej, coraz wyższy i wyższy. Z trudem przekopywał się koń przez czystą, i wiejącą, jego masę. Wreszcie ustał. Wyszedłem z dorożki. Dyszał się koło ze zwieszoną głową. Przytuliłem jego łeb do piersi, w jego wielkich czarnych oczach lśniły łzy. Wtedy ujrzałem na jego brzuchu okrągłą, czarną, ranę. --Dlaczego mi nie powiedziałeś? --szepnąłem ze łzami. --Drogi mój --to dla ciebie --rzekł

i stał się bardzo mały, jak konik z drzewa. Opuściłem go. Czułem się dziwnie lekki i szczęśliwy. Zastanawiałem się, czy czeka na mnie kolejka lokalna, która tu zajdzie, czy też pieszo wróci do miasta. Zaczętem schodzić stromą, serpentyną, w ród lasu, poczynkowo idąc krokiem lekkim, elastycznym, potem, nabierając rozpędu, przeszedłem w posuwisty szczęśliwy bieg, który zmienił się wnet w jazdę jak na nartach. Mogłem dowolnie regulować szybkość jazdy, przy pomocy lekkich zwrotów ciała. W pobliżu miasta zahamowałem ten bieg tryumfalny, zmieniając go na przyzwoity krok spacerowy. Kiedyś stał jeszcze cięgle wysoko. Transformacje nieba, metamorfozy jego wielokrotnych sklepień w coraz to kunsztowniejsze konfiguracje nie miały końca. Jak srebrne astrolabium otwierało niebo w noc czarodziejską, mechanizm wnętrza i ukazywało w nieskończonych ewolucjach złocistą, matematykę swych kątów i trybów. Na rynku spotkałem ludzi zażywających przechadzki. Wszyscy, oczarowani widowiskiem tej nocy, mieli twarze wzniesione i srebrne od magii nieba. Troska o portfel opuściła mnie zupełnie. Ojciec, pogrzezony w swych dziwactwach, zapewne zapomniał już o zgubie, o matce nie dbałem. W tak, noc, jedyną, w roku, przychodzi, szczęśliwie myśli, natchnienia, wieszczętki ciał palca bożego. Pełen pomysłów i inspiracji, chciałem skierować się do domu, gdy zaszli mi drogę koledzy z księżkami pod pachą. Zbyt wcześnie nie wyszli do szkoły, obudzeni jasno cię, tej nocy, która nie chciała się skończyć. Poszliśmy gromadą, na spacer stromo spadając, ulicą, z której wiał powiew fiołków, niepewni, czy to jeszcze magia nocy srebrzyła się na niegu, czy też witał już wstawał...

ULICA KROKODYLI Mój ojciec przechowywał w dolnej szufladzie swego gabłobokiego biurka starą, piękną, mapę naszego miasta. Była to całe wolumen in folio pergaminowych kart, które pierwotnie spojone skrawkami piana, tworzyły ogromną, mapę cienną, w kształcie panoramy z ptasiej perspektywy. Zawieszona na ścianie, zajmowała niemal przestrzeń całego pokoju i otwierała daleki widok na całą dolinę Ty mienicy, wijącą się falisto bładozłotą, wstęgiem, na całe pojezierze szeroko rozlanych moczarów i stawów, na połać przedgórze, ciągnące się ku południowi, naprzód z rzadka, potem coraz ciemniejszymi pasmami, szachownicą, okrągłymi wzgórzami, coraz mniejszych i coraz bledszych, w miarę jak odchodziły ku złotawej i dymnej mgłę horyzontu. Z tej zwiędłej dali peryferii wynurzało się miasto i rosło ku przodowi, naprzód jeszcze w nieznacowanych kompleksach, w zwartych blokach i masach domów, poprzecinanych gabłobokimi parowami ulic, by bliżej jeszcze wyodrębnić w pojedyncze kamienice, sztychowane z ostrą, wyrazistą cię, widoków ogólnych przez lunetę. Na tych bliższych planach wydobył sztycharz całe zawikłane i wieloraki zgiętki ulic i zaułków, ostrą, wyrazistą gzymsów, architrawów, archiwoltów i pilastrów, wieńców w pónym i ciemnym złocie pochmurnego popołudnia, które pogrzeza wszystkie załomy i framugi w gabłobokiej sepeli cienia. Bryły i pryzmy tego cienia wcinają się, jak plastry ciemnego miodu, w wozy ulic, zatapiały w swej ciepłej, soczystej masie tu całą, połowę ulicy, tam wyłom między domami, dramatyzowały i orkiestrowały ponurą, romantyczną, cieniową wieloraką, polifonię architektoniczną. Na tym planie, wykonanym w stylu barokowych prospektów, okolica Ulicy Krokodylej wiecista pustą, bielą, jak, na kartach geograficznych zwykło się oznaczać okolice podbiegunowe, krainy niezbadane i niepewnej egzystencji. Tylko linie kilku ulic wrysowane tam były czarnymi kreskami i opatrzone nazwami w prostym, nieozdobnym

pi mie, w odróżnieniu od szlachetnej antyki innych napisów. Widocznie kartograf wzbraniał się uznać przynależność tej dzielnicy do zespołu miasta i zastrzeżenie swe wyraził w tym odrębnym i postępującym wykonaniu. Aby zrozumieć rezerwę, musimy już teraz zwrócić uwagę na dwuznaczny i wrażliwy charakter tej dzielnicy, tak bardzo odbiegający od zasadniczego tonu całego miasta. Był to dystrykt przemysłowo-handlowy z podkreślonym jaskrawo charakterem trzej użytkowo ci. Duch czasu, mechanizm ekonomiki, nie oszczędził i naszego miasta i zapuścił korzenie na skrawku jego peryferii, gdzie rozwinęły się w pasywnych, dzielnicach. Kiedy w starym mieście panował wciśnięty jeszcze nocny, pokłony handel, pełen solennej ceremonialności, w tej nowej dzielnicy rozwinęły się od razu nowoczesne, trzej w formie komercjalizmu. Pseudoamerykanizm, zaszczerpiony na starym, zmurszałym gruncie miasta, wystrzelił tu bujnie, lecz pustą, i bezbarwną, roślinność, tandetną, lichą pretensjonalność. Widziało się tam tanie, marnie budowane kamienice o karykaturalnych fasadach, oblepione monstrualnymi sztukateriami z popękanej gipsu. Stare, krzywe domki podmiejskie otrzymały szybko sklecone portale, które dopiero bliższe przyjrzenie demaskowało jako niedobre imitacje wielkomijskich urządzeń. Wadliwe, mętne i brudne szyby, łamiące w falistych refleksach ciemne odbicie ulicy, nie heblowane drzewo portali, szara atmosfera jałowych tych wnętrz, osiadających pajęczyn, i kłakami kurzu na wysokich półkach i wzdłuż odartych i kruszących się cian, wyciskały tu, na sklepach, piętno dzikiego Klondike'u. Tak ciągnęły się jeden za drugim, magazyny krawców, konfekcje, składy porcelany, drogerie, zakłady fryzjerskie. Szare ich, wielkie szyby wystawowe nosiły ukośne nie lub w półkolu biegnące napisy ze złotych plastycznych liter: CONFISERIE, MANUCURE, KING OF ENGLAND. Rdzenni mieszkańcy miasta trzymali się z dala od tej okolicy, zamieszkiwanej przez szumowiny, przez gmin, przez kreatury bez charakteru, bez głębi, przez istniejącą lichotę moralną, tandetną, odmianę człowieka, która rodzi się w takich efemerycznych środowiskach. Ale w dniach upadku, w godzinach niskiej pokusy zdarzało się, że ten lub ów z mieszkańców miasta zabłądził się na wpół przypadkiem w tę wrażliwą, dzielnicę. Najlepsi nie byli czasem wolni od pokusy dobrowolnej degradacji, zniwelowania granic i hierarchii, stawienia się w tym pękającym błocie wspólnoty, łatwej intymności, brudnego zmieszania. Dzielnica ta była eldorem takich dezertów moralnych, takich zbiegów spod sztandaru godności własnej. Wszystko zdawało się tam podejrzane i dwuznaczne, wszystko zapraszało sekretnym mrugnięciem, cynicznie artykułowanym gestem, wyrażającym nieprzymrużonym perskim okiem--do nieczystych nadziei, wszystko wyzwalało z półtę niską, naturę. Miał kto, nie uprzedzony, spostrzegać dziwną, osobliwą tę dzielnicę: brak barw, jak gdyby w tym tandetnym, w po piechu wyrosłym mieście nie można było sobie pozwolić na luksus kolorów. Wszystko tam było szare jak na jednobarwnych fotografiach, jak w ilustrowanych prospektach. Podobieństwo to wychodziło poza zwykłą, metaforę, gdyż chwilami, wędrując po tej części miasta, miało się w istocie wrażenie, że wertykuje się w jakimś prospekcie, w nudnych rubrykach komercyjnych ogłoszeń, w ról których zagnie dziły się pasywnie podejrzane anonse, drażliwe notatki, wrażliwe ilustracje; i wędrując te były równie jałowe i bez rezultatu jak ekscytacje fantazji, podjętej przez szpalty i kolumny pornograficznych druków. Wchodziło się do jakiegoś krawca, żeby zamówić ubranie--ubranie o taniej elegancji, tak charakterystycznej dla tej dzielnicy. Lokal był wielki i pusty,

bardzo wysoki i bezbarwny. Ogromne wielopiętrowe półki wznoszą się nad drugimi w nieokreślonej wysokości. Kondygnacje pustych półek wyprowadzają wzrok w górę aż pod sufit, który może być niebieskim, bezbarwnym, odrapanym niebem tej dzielnicy. Natomiast dalsze magazyny, które widać przez otwarte drzwi, pełne są, aż pod sufit pudeł i kartonów, piętrzących się ogromnie, kartotek, która rozpada się w górę, pod zagmatwanym niebem strychu w kubaturze pustki, w jałowy budulec nico ci. Przez wielkie szare okna, kratkowane wielokrotnie jak arkusze papieru kancelaryjnego, nie wchodzi wiatro, gdy przestrzeń sklepu już napełniona jest, jak woda, indyferentna, szara, po wiatro, która nie rzuca cienia i nie akcentuje niczego. Wnet nawija się jakiś smukły młodzieniec, zadziwiająco usłużny, giętki i nieodporny, ażeby dogodzić naszym życzeniom i zalać nas tanią, i łatwą, wymową, subiekta. Ale gdy, gadając, rozwija ogromne postawy sukna, przymierza, fałduje i drapuje niekończących się strugę materiału, przepływając, przez jego rękę, formując z jego fałd iluzoryczne surduty i spodnie, cała ta manipulacja wydaje się czymś nieistotnym, pozorem, komedią, ironicznie zarzuconą, zasłoną, na prawdziwy sens sprawy. Paniąki sklepowe, smukłe i czarne, każda z jak, skaz, pięćno ci (charakterystyczna, dla tej dzielnicy wybrakowanych artykułów), wchodzi, i wychodzi, staje, w drzwiach magazynów, sondując oczyma, czy rzecz wiadoma (powierzona do wiadczonym ręką subiekta) dojrzewa do punktu wstąpienia. Subjekt przymila się i kryguje i chwilami robi wrażenie transwestyty. Chciałoby się go ujrzeć pod miękko zarysowanymi, brodawkami lub uszczypkami, ażeby upudrowany błąd policzek, gdy z porozumiewawczym półspojrzeniem dyskretnie zwraca uwagę na markę ochronną, towaru, markę o przejrzystej symbolice. Zwolna sprawa wyboru ubrania schodzi na plan dalszy. Ten miękki do efeminacji i zepsuty młodzieniec, pełen zrozumienia dla najintymniejszych poruszeń klienta, przesuwając teraz przed jego oczyma osobliwe marki ochronne, całe, biblioteczki znaków ochronnych, gabinet kolekcjonerski wyrafinowanego zbieracza. Pokazywałoby się wówczas, że magazyn konfekcji był tylko fasadą, za którą kryła się antykwarnia, zbiór wysoce dwuznacznych wydawnictw i druków prywatnych. Usłużny subjekt otwiera dalsze składowe, wypełnione aż pod sufit księzkami, rycinami, fotografiami. Te winiety, te ryciny przechodzą, stokrotnie najmielsze nasze marzenia. Takich kulminacji zepsucia, takich wymyślności wyuzdania nie przeczuwali my nigdy. Paniąki sklepowe przesuwają, się coraz częściej ciężej pomiędzy szeregiem księzek, szare i papierowe, ale pełne pigmentu w zepsutych twarzach, ciemnego pigmentu brunetek o lśnieniu, i tępym czarno ci, która zaczajona w oczach, z nagłą wybiegała z nich zygakiem lśniącego, karakoniego biegu. Ale i w spalonych rumieńcach, w pikantnych stygmatach pieprzyków, we wstydlivych znamionach ciemnego puszcza zdradzała się rasa zapiekłej, czarnej krwi. Ten barwik o nazbyt intensywnej mocy, ta mokka gęsta i aromatyczna zdawała się plamić księgi, które brały one do oliwkowej dłoni, ich dotknięcia zdawały się je farbować i zostawiać w powietrzu ciemny deszcz piegów, smugę tabaki, jak purchawka o podniecającej, animalnej woni. Tymczasem powszechna rozwiązłość rzuciła coraz bardziej hamulce pozorów. Subjekt, wyczerpawszy swą, natarczywą, aktywność przechodził powoli do kobiecej bierności. Leży teraz na jednej z wielu kanap, porozstawianych w rzędach rejonów księzek, w jedwabnej podłazie, odsłaniającej kobiecie dekolt. Paniąki demonstrowały, jedna przed drugą, figury i pozycje rycin okładkowych, inne zasypiały, już na prowizorycznych posłaniach. Nacisk na klienta rozluźniał się.

Wypuszczano go z kręgu natarczywego zainteresowania, pozostawiano sobie samemu. Subiektki, zajęte rozmowami, nie zwracały na więcej uwagi. Odwrócone do niego tyłem lub bokiem, przystawały w aroganckim kontra po cie, przestępowały z nogi na nogę, grając kokietyrny obuwem, przepuszczały z góry na dół po smukłym ciele wężow, grę członków, atakując ni, spoza swej niedbałej nieodpowiedzialności podnieconego widza, którego ignorowały. Tak cofano się, wsuwano w głąb z wyrachowaniem, otwierając wolną przestrzeń dla aktywności gościa. Skorzystajmy z tego momentu nieuwagi, aby wymknąć się nieprzewidzianym konsekwencjom tej niewinnej wizyty i wydostać się na ulicę. Nikt nas nie zatrzymuje. Przez korytarze księżek, pomiędzy długimi regałami czasopism i druków wydostajemy się ze sklepu i oto jesteśmy w tym miejscu Ulicy Krokodylej, gdzie z wyniesionego jej punktu widać niemal całą, długą tę tego szerokiego traktu aż do dalekich, nie wykończonych zabudowa dworca kolejowego. Jest to szary dzień, jak zawsze w tej okolicy, i cała sceneria wydaje się chwilami fotografią, z ilustrowanej gazety, tak szare, tak płaskie są, domy, ludzie i pojazdy. Ta rzeczywistość jest cienka jak papier i wszystkimi szparami zdradza swą imitacyjność. Chwilami ma się wrażenie, że tylko na małym skrawku przed nami układa się wszystko przykładowo w ten pointowany obraz bulwaru wielkowiejskiego, gdy tymczasem już na bokach rozwija się i rozprzęgająca zaimprovizowana maskarada i, niezdolna wytrwać w swej roli, rozpada się za nami w gips i pakę, w rupieciarnię jakiego ogromnego pustego teatru. Napięcie pożytku, sztuczna powaga maski, ironiczny patos drżący na tym naskoku. Ale dalecy jesteśmy od chwili demaskowania widowiska. Wbrew lepszej wiedzy czujemy się wciąż w tandetnym czarze dzielnicy. Zresztą, nie brak w obrazie miasta i pewnych cech autoparodii. Rzeczywiście, parterowych domków podmiejskich zmieniają się z wielopiętrowymi kamienicami, które zbudowane jak z kartonu, są, konglomeratem sztyldów, lepszych okien biurowych, szklistoszarych wystaw, reklam i numerów. Pod domami płynie rzeka tłumów. Ulica jest szeroka jak bulwar wielkowiejski, ale jezdnia, jak place wiejskie, zrobiona jest z ubitej gliny, pełna wybojów, kałuż i trawy. Ruch uliczny dzielnicy służy do porównania w tym mieście, mieszkańcy mówią, o nim z dumą, i porozumiewawczym bęciskiem w oku. Szary, bezosobisty ten tłum jest nader przejrzysty swą rolą, i pełen gorliwości w demonstrowaniu wielkowiejskiego pozoru. Wszelako, mimo zaafektowania i interesowności, ma się wrażenie błędnej, monotonnej, bezcelowej wędrówki, jakiego sennego korowodu marionetek. Atmosfera dziwnej błahości przenika tu całą scenerię. Tłum płynie monotonnie i, rzecz dziwna, widzi się go zawsze jakby niewyraźnie, figury przepływają, w spletnym, łagodnym zgieńku, nie dochodząc do zupełnej wyrazistości. Czasem tylko wyławiamy z tego gwaru wielu głów jakieś ciemne, żywe spojrzenie, jakiś czarny melonik nasunięty głębok na głowę, jakie półtwarzy rozdarte uśmiechem, z ustami, które wstać nie mogą powiedzieć, jak, nogę wysuniętą, w kroku i tak już zastygłą, na zawsze. Osobliwi ci, dzielnicy są, dorożki bez woźniców, biegnące samopas po ulicach. Nie jakoby nie było tu dorożkarzy, ale wmieszani w tłum i zajęci tysiącami spraw, nie troszczą się o swe dorożki. W tej dzielnicy pozoru i pustego gestu nie przywiązuje się zbytnej wagi do cisłego celu jazdy i pasażerowie powierzają się tym błędnym pojazdom z lekkomyślnością, która cechuje tu wszystko. Nierzadko na ich widziałem niebezpiecznych zakrętach, wychylonych daleko z połamanej budy, jak z lejcami w dżoniach przeprowadzających, z natężeniem trudny manewr wymijania. Mamy w tej

dzielnicy także tramwaje. Ambicja rajców miejskich widać tu najwyższy
swój triumf. Ale po załadowaniu godny jest widok tych wozów, zrobionych z
papier machu, o cianach powyginanych i zmiecietych od wieloletniego
użytku. Często brak im zupełnie przedniej ciany tak, że widzi się na w
przeje dzie pasażerów, siedzących sztywnie i zachowujących się z wielką
godnością. Tramwaje te popychane są przez tragarzy miejskich.
Najdziwniejszą, atoli rzecz, jest komunikacja kolejowa na Ulicy
Krokodylej. Czasami, w nieregularnych porach dnia, gdzie ku kołowi
tygodnia można zauważyć tłum ludzi czekających na zakręcie ulicy na
pociąg. Nie jest się nigdy pewnym, czy przyjedzie i gdzie stanie, i
zdarza się często, że ludzie ustawiają się w dwóch różnych punktach, nie
mogąc uzgodnić swych poglądów na miejsce przystanku. Czekają, długo i
stoją, czarnym milczącym tłumem wzdłuż ledwo zarysowanych ładów toru, z
twarzami w profilu, jak szereg bladych masek z papieru, wyciętych w
fantastycznym, liniście zapatrzenia. I wreszcie niespodzianie zajadła, już
wjechała z bocznej uliczki, skąd go oczekiwano, niski jak wąż,
miniaturowy, z małą, sapiącą, krępią, lokomotywą. Wjechała w ten czarny
szpaler i ulica stała się ciemna od tego cięgu wozów, siedzących pył
węgłowy. Ciemne sapanie parowozu i powiew dziwnej powagi, pełnej smutku,
tłumiony po piech i zdenerwowanie zamieniają ulicę na chwilę w halę
dworca kolejowego w szybko zapadającym zmierzchu zimowym. Plaga naszego
miasta jest aż iotaż biletów kolejowych i przekupstwo. W ostatniej
chwili, gdy pociąg już stoi na stacji, toczą się w nerwowym po piechu
pertraktacje z przekupnymi urzędnikami linii żelaznej. Zanim te
negocjacje się skończą, pociąg rusza, odprowadzany przez wolno sunący,
rozczerwany tłum, który odprowadza go daleko, ażeby się wreszcie
rozproszyła ulica, zacieńiona na chwilę do tego zaimprovizowanego
dworca, pełnego zmierzchu i tchnienia dalekich dróg--rozwidnia się
znowu, rozszerza i przepuszcza znów swym korytem beztroski monotony
tłum spacerowiczów, który wędruje w ród gwaru rozmów wzdłuż wystaw
sklepowych, tych brudnych, szarych czworoboków, pełnych tandetnych
towarów, wielkich woskowych manekinów i lalek fryzjerskich. Wyzywająco
ubrane, w długich koronkowych sukniach przechodzą prostytutki. Mogą to
być reszta, żony fryzjerów lub kapelmistrzów kawiarnianych. Idą,
drapiejącym, posuwistym krokiem i mają, w niedobrych, zepsutych twarzach
nieznaczny, skądś, która je przekreśla: zezują, czarnym, krzywym zezem lub
mają, usta rozdarte, lub brak im koniuszka nosa. Mieszkańcy miasta dumni
są, z tego odoru zepsucia, którym tchnie Ulica Krokodyli. Nie mamy
potrzeby niczego sobie odmawiaćmy, z dumą--stać i na prawdziwą,
wielkomięską, rozpustę. Twierdzą, oni, że każda kobieta w tej dzielnicy
jest kokot. W istocie wystarczy zwrócić uwagę na którą, --a natychmiast
spotyka się to uporczywe, lepkie spojrzenie, które nas zmraża rozkosznie,
pewno ci. Nawet dziewczęta szkolne noszą, tu w pewien charakterystyczny
sposób kokardy, stawiają, swoistą, manier, smukłe nogi i mają, tę nieczystą,
skądś w spojrzeniu, w której leży preformowane przyszłe zepsucie. A
jednak--a jednak czy mamy zdradzić statni, tajemnicę tej dzielnicy,
troskliwie ukrywany sekret Ulicy Krokodyli? Kilkakrotnie w trakcie
naszego sprawozdania stawiali my pewne znaki ostrzegawcze, dawali my w
delikatny sposób wyraz naszym zastrzeżeniom. Uwagę czytelnik nie będzie
nie przygotowany na ten ostateczny obrót sprawy. Mówili my o
imitatywnym, iluzorycznym charakterze tej dzielnicy, ale słowa te mają,
zbyt ostateczne i stanowcze znaczenie, by określić powściągliwy i
niezdecydowany charakter jej rzeczywistości. Język nasz nie posiada

okreleæ, które by dozowały niejako stopieæ realno ci, definiowały jej
giCetko æPowiedzmy bez ogródek: fatalno ci,, tej dzielnicy jest, æe nic
w niej nie dochodzi do skutku, nic nie odbiega od swego definitivum,
wszystkie ruchy rozpoczæte zawisaj,, w powietrzu, wszystkie gesty
wyczerpuj,, siCæ przedwcze nie i nie mog,, przekroczyæ pewnego martwego
punktu. Mogli my juæ zauwaæyæ wielk,, bujno æ rozrzutno æw
intencjach, w projektach i antycypacjach, która cechuje tCæ dzielnicCæ.
Caæa ona nie jest niczym innym jak fermentacj,, pragnieæ, przedwcze nie
wybujaj,, i dlatego bezsiln,, i pust,,. W atmosferze nadmiernej æatwo ci
kieækuje tutaj kaæda najlæejsza zachcianka, przelotne napiCæcie puchnie i
ro nie w pust,, wydCæt,, naro l, wystrzela szara i lekka wegetacja
puszystych chwastów, bezbarwnych wæochatych maków, zrobiona z niewaækiej
tkanki majaku i haszyszu. Nad caæ,, dzielnic,, unosi siCæ leniwy i
rozwi,,zæy fluid grzechu i domy, sklepy, ludzie wydaj,, siCæ niekiedy
dreszczem na jej gor,,czkuj,,cym ciebie, gCæsi,, skórk,, na jej febrycznych
marzeniach. Nigdzie, jak tu, nie czujemy siCæ tak zagroæeni
moæliwo ciami, wstrz,, niCæci blisko ci,, speænienia, pobladli i bezwæadni
rozkoszonym truchleniem ziszczenia. Lecz na tym siCæ teæ koæczy.
Przekroczywszy pewien punkt napiCæcia, przypætyw zatrzymuje siCæ i cofa,
atmosfera ga nie i przekwita, moæliwo ci wiCædn,, i rozpadaj,, siCæ w
nico æoszalaæe szare maki ekscytacji rozsypuj,, siCæ w popiæ. Bædziemy
wiecznie æaæowali, æe my wtedy wyszli na chwilCæ z magazynu konfekcji
podejrzanej konduity. Nigdy nie trafimy juæ doæ z powrotem. Bædziemy
bæ,,dzili od szyldu do szyldu i mylili siCæ setki razy. Zwiedzimy
dziesi,,tki magazynów, trafimy do caækiem podobnych, bædziemy wCædrowali
przez szpalery ksi,,æek, wertowali czasopisma i druki, konferowali dæugo
i zawile z panienkami o nadmiernym pigmentcie i skaæonej piCækno ci, które
nie potrafi,, zrozumieæ naszych æyczeæ. Bædziemy siCæ wikæali w
nieporozumieniach, aæ caæa nasza gor,,czka i podniecenie ulotni siCæ w
niepotrzebnym wysiæku, w straconej na próno gonitwie. Nasze nadzieje
byæy nieporozumieniem, dwuznaczny wygl,,d lokalu i sæuæby- pozorem,
konfekcja byæa prawdziw,, konfekcj,, a subiekt nie miaæ æadnych ukrytych
intencji. wiat kobiecy Ulicy Krokodylej odznacza siCæ caækiem miernym
zepsuciem, zagæuszonym grubymi warstwami przes,,dów moralnych i banalnej
pospolito ci. W tym mie cie taniego materiaæu ludzkiego brak takæe
wybujajæo ci instynktu, brak niezwykæych i ciemnych namiCætno ci. Ulica
Krokodyli byæa koncesj,, naszego miasta na rzecz nowoczesno ci i zepsucia
wielkowiejskiego. Widocznie nie staænas byæo na nic innego jak na
papierow,, imitacjCæ, jak na fotomontaæ zæoæony z wycinków zleæaæych,
zeszæorocznych gazet.

KARAKONY Byæo to w okresie szarych dni, które nast,,piæy po wietnej
kolorowo ci genialnej epoki mego ojca. Byæy to dæugie tygodnie depresji,
ciCæækie tygodnie bez niedziel i wi,,t, przy zamkniCætym niebie i w
zuboæaæym krajobrazie. Ojca juæ wówczas nie byæo. Górne pokoje
wyspr,,tano i wynajCæto pewnej telefonistce. Z caæego ptasiego
gospodarstwa pozostaæ nam jedyny egzemplarz, wypchany kondor, stoj,,cy na
pææce w salonie. W chæodnym pæmroku zamkniCætych firanek staæ on tam,
jak za æycia, na jednej nodze, w pozie buddyjskiego mCædrca, a gorzka
jego, wyschæa twarz ascety skamieniaæa w wyraz ostatecznej obojCætno ci i
abnegacji. Oczy wypadæy, a przez wypæakane, æzawe orbity sypaæy siCæ
trociny. Tylko rogowate egipskie naro le na nagim potCæænym dziobie i na
æysej szyi, naro le i gruzæy spæowiaæobæCækitnej barwy nadawaæy tej

starczej głowie co dostojnie hieratycznego. Pierzasty habit jego był już w wielu miejscach przezarty przez mole i gubił miśki, szare pierze, które Adela raz w tygodniu wymiatała wraz z bezimiennym kurzem pokoju. W wytłuszczonych miejscach widać było workowe, grube pądo, z którego wyłaziły kłaki konopne. Miałem ukryty żal do matki za łatwość jak, przeszła do porządku dziennego nad stratą ojca. Nigdy go nie kochała--my lałem--a ponieważ ojciec nie był zakorzeniony w sercu żadnej kobiety, przeto nie mógł też wrócić, realnie nie unosił się wiecznie na peryferii życia, w półrealnych regionach, na krawędziach rzeczywistości. Nawet na uczciwym, obywatelskim, mierzenie zasługi sobie--my lałem--wszystko u niego musiało, być dziwaczne i wtopliwe. Postanowiłem w stosownej chwili zaskoczyć matkę otwartą, rozmową. Owego dnia (był cięski dzień zimowy i od rana już sypał się miśki puch zmierzchu) matka miała migrenę i leżała na sofie samotnie w salonie. W tym rzadko odwiedzanym, paradnym pokoju panował od czasu zniknięcia ojca wzorowy porządek, pielęgnowany woskiem i szczotkami przez Adelę. Meble przykryte były pokrowcami; wszystkie sprzęty poddały się elastycznej dyscyplinie, jak, Adela rozłożyła nad tym pokojem. Tylko pięć piór pawich, stojących w wazie na komodzie, nie dały się utrzymać w ryzach. Był to element swawolny, niebezpieczny, o nieuchwytej rewolucyjności, jak rozchudzona klasa gimnazjastek, pełna dewocji w oczach, a rozpustnej swawoli poza oczyma. Widowały te oczy dzień cały i wierciły dziury w cianach, mrugały, tłoczyły się, trzepocząc rzęsami, z palcem przy ustach, jedno przez drugie, pełne chichotu i psoty. Napełniały pokój wiergotem i szeptem, rozsypywały się, jak motyle, dookoła wieloramiennej lampy, uderzały tłumem barwnym w matowe, starcze dziurki od kluczy. Nawet w obecności matki, leżącej z zawiązaną głową, na sofie, nie mogły się powstrzymać od perskiego oczka, dawały sobie znaki, mówiły niemy, kolorowym alfabetem, pełnym sekretnych znaczeń. Irytowało mnie to szydercze porozumienie, ta migotliwa zmowa poza moimi plecami. Z kolanami przyciśniętymi do sofę matki, badając dwoma palcami, jakby w zamyśleniu, delikatnie, materię jej szlafroka, rzekłem niby mimochodem:-- Chciałem cię już od dawna zapytać o prawdę, że to jest on?--I chociaż nie wskazałem nawet spojrzeniem na kondora, matka odgadła od razu, zmieszała się bardzo i spuściła oczy. Dałem umyślnie upłynąć chwili, żeby wykosztować jej zmieszanie, po czym z całym spokojem, opanowanym wzbierającym gniewem, spytałem:--Jaki sens mają, w takim razie te wszystkie plotki i kłamstwa, które rozsiewasz o ojcu? Lecz jej rysy, które w pierwszej chwili rozpadły się były w panice, zaczęły się znowu porządkować--Jakie kłamstwa?--spytała mrugając oczyma, które były puste, nalane ciemnym błękitem, bez białości.--Znam je od Adeli--rzekłem - ale wiem, że pochodzą, od ciebie; chcę wiedzieć o prawdzie. Usta jej drżały lekko, renice, unikając mego wzroku, powędrowały w którąś stronę.--Nie kłamam--rzekła, a usta jej napełniały i stały się małe zarazem. Uczułem, że mnie kokietuje jak kobieta męczycielka.--Z tymi karakonami to prawda--sam przecie pamiętasz...--Zmieszałem się. Pamiętałem w istocie tę inwazję karakonów, ten zalew czarnego rojowiska, które napełniało ciemno nocną, pajęczą, bieżącą. Wszystkie szpary pełne były drgających wosków, każda szczelina mogła wystrzelić nagła karakonem, z kałdego pęknięcia podłogi mogła zlewnąć się ta czarna błyskawica, lecąca oszalałym zygzakiem po podłodze. Ach, ten dziki obłęd popłochu, pisany błyszczącymi, czarnymi liniami, na tablicy podłogi. Ach, te krzyki grozy ojca, skaczącego z krzesła na krzesło z dzirytem w ręku.

Nie przyjmuj, cjadła ani napoju, z wypiekami gor, czki na twarzy, z konwulsj, wstrętu wryt, dookoła ust, ojciec mój zdziczał zupełnie. Jasne było, że tego napięcia nienawi ci żaden organizm długo wytrzymaanie może. Straszliwa odraza zamieniała jego twarz w stęła, maskę tragiczną, w której tylko renice, ukryte za doln, powiek, leżały na czatach, napięte jak cięciwy, w wiecznej podejrzliwość ci. Z dzikim wrzaskiem zrywał się nagle z siedzenia, leciał na o lep w k, t pokoju i już podnosił dzirynt, na którym utkwiony ogromny karakon przebiegał rozpaczliwie gmatwanin, swych nóg. Adela przychodziła wówczas blademu ze zgrozy z pomoc, i odbierała lancę wraz z utkwionym trofeum, ażeby j, utopiał w cebrzyku. Już wówczas jednak nie umiałbym być powiedzieć czy obrazy te zaszczyły mi opowiadania Adeli, czy też sam byłem ich wiadkiem. Ojciec mój nie posiadał już wtedy tej siły odpornej, która zdrowych ludzi broni od fascynacji wstrętu. Zamiast odgraniczyć się do straszliwej siły atrakcyjnej tej fascynacji, ojciec mój, wydany na łup szafu, wpl, tywał się w ni, coraz bardziej. Smutne skutki nie dały długo na siebie czekać. Wnet pojawiły się pierwsze podejrzane znaki, które napełniły nas przerażeniem i smutkiem. Zachowanie ojca zmieniło się. Szał jego, euforia jego podniecenia przygasła. W ruchach i mimice jego się zdradzały znaki złego sumienia. Zacz, ł nas unikał. Krył się gdzieś cały po k, tach, w szafach, pod pierzyn, . Widziałem go nieraz, jak w zamy leniu ogl, dał własne ręce, badał konsystencję skóry, paznokci, na których występowały czarne plamy, jak łuski karakona. W dzień opierał się jeszcze ostatkami sił, walczył, ale w nocy fascynacja uderzała na potężnymi arakami. Widziałem go późn, noc, w wietle wiecy stoj, cej na podłodze. Mój ojciec leżał na ziemi nagi, popstrzony czarnymi plamami totemu, pokryty liniami żeber, fantastycznym rysunkiem przez wiec, cej na zewn, trz anatomii, leżał na czworakach, opętany fascynacj, awersji, która go wci, gała w g, b swych zawiętych dróg. Mój ojciec poruszał się wielocłonkowym, skomplikowanym ruchem dziwnego rytuału, w którym ze zgroz, poznałem imitację ceremoniału karakoniego. Od tego czasu wyrzekli my się ojca. Podobieństwo do karakona występowało z dniem każdym wyraźniej--mój ojciec zamieniał się w karakona. Zaczęli my się przyzwyczajać do tego. Widywali my go coraz rzadziej, całym tygodniami znikał gdzieś na swych karakonich drogach-- przestali my go odróżniać w zupełnie ci z tym czarnym niesamowitym plemieniem. Kto mógł powiedzieć czy żył gdzieś jeszcze w jakiej szparze podłogi, czy przebiegał nocami pokoje, zapl, tany w afery karakonie, czy też był może między tymi martwymi owadami, które Adela co rana znajdowała brzuchem do góry leż, ce i najeżone nogami i które ze wstrętem brała na mietniczko i wyrzucała?--A jednak--powiedziałem zdetonowany--jestem pewny, że ten kondor to on.--Matka spojrzała na mnie spod rzęs:--Nie dręcz mnie, drogi--mówiłam ci już przecie, że ojciec podróży jako komiwojażer po kraju--przecież wiesz, że czasem w nocy przyjeżdża do domu, ażeby przed witem jeszcze dalej odjechać

WICHURA Tej długiej i pustej zimy obrodziła ciemno w naszym mieście ogromnym, stokrotnym urodzajem. Zbyt długo snad nie sprz, tano na strychach i w rupieciarniach, stłaczano garnki na garnkach i flaszki na flaszkach, pozwalano narastać bez końca pustym bateriom butelek. Tam, w tych spalonych, wielkobelkowych lasach strychów i dachów ciemno w zaczęła się wyradzać dziko fermentować. Tam zaczęły się te czarne sejmy garnków, te wiecowania gadatliwe i puste, te bełkotliwe

flaszki, bulgoty butli i baniek. Aż pewnej nocy wezbrały pod gontowymi przestworami falangi garnków i flaszek i popłynęły wielkim stłoczonym ludem na miasto. Strychy, wystrychnięte ze strychów, rozprzestrzeniały się jedno z drugich i wystrzelały czarnymi szpalerami, a przez przestronne ich echa przebiegały kawalkady tramów i belek, lansady drewnianych kozłów, klękających na jodłowe kolana, a żeby wypadłszy na wolno napełniając przestwory nocy galopem krokwi i zgiełkiem pętli i bantów. Wtedy to wylały się te czarne rzeki, wódki beczek i konwi, i płynęły przez noc. Czarne ich, połyskliwe, gwarne zbiegowiska oblegały miasto. Nocami mrowiły się ten ciemny zgiełk naczyń i napierał jak armie rozgadanych ryb, niepowstrzymany najazd pyskujących skopców i bredzących cebrów. Dudniły dnami, piętrzyły się wiadra, beczki i konwie, dyndały się gliniane stągwie zdunów, stare kapeluchy i cylindry dandysów gramoliły się jedna na drugie, rosnęły w niebo kolumnami, które się rozpadały. I wszystkie kołatały niezgrabnie kołkami drewnianych języków, meły nieudolnie w drewnianych gębach bełkot kłót i obelg, bluń, błotem na całej przestrzeni nocy. Aż doblu niły się, dokłęły swego. Przywołane rechotem naczyń, rozplotkowanym od brzegu do brzegu, nadeszły wreszcie karawany, nadszły potężne tabory wichru i stanęły nad nocą. Ogromne obozowisko, czarny ruchomy amfiteatr zstępować zaczął w potężnych kręgach ku miastu. I wybuchła ciemno ogromna, wzburzoną, wichurą, i szalała przez trzy dni i trzy noce...--Nie pódziesz dzi do szkoły--rzekła rano matka--jest straszna wichura na dworze.--W pokoju unosił się delikatny welon dymu, pachnący żywicy. Piec wył i gwizdał, jak gdyby uwiązana w nim była cała sfera psów czy demonów. Wielki bohomas, wymalowany na jego pękającym brzuchu, wykrzywił się kolorowym grymasem i fantastycznie wzdętymi policzkami. Pobiegł bosko do okna. Niebo wydmuchane było wzdłuż i wszereż wiatrami. Srebrzystobiałe i przestronne, porysowane było w linie siły, natężone do pęknięcia, w srogie bruzdy, jakby zastygłe żyłki cyny i ołowiu. Podzielone na pola energetyczne i drżące od napiętej było utajonej dynamiki. Rysowały się w nim diagramy wichury, która sama niewidoczna i nieuchwytna, ładowała krajobraz potęgą. Nie widziało się jej. Poznawało się ją, po domach, po dachach, w które wjeżdżała jej furia. Jeden po drugim strychy zdawały się rosnąć i wybuchać szaleństwem, gdy wstępować w nie jej siła. Ogałacała place, zostawiała za sobą, na ulicach białe, pustki, zamiatała całe połacie rynku do czysta. Ledwie tu i ówdzie gięły się pod nią, i trzepotały, uczipiony węgła domu, samotny człowiek. Cały plac rynkowy zdawał się wyrzyszczać i nieustannie, żysin, pod jej potężnymi przelotami. Na niebie wydmuchał wiatr zimne i martwe kolory, grynszpanowe, żółte i liliowe smugi, dalekie sklepienia i arkady swego labiryntu. Dachy stały pod tymi niebami czarne i krzywe, pełne niecierpliwości i oczekiwania. Te, w które wstąpił wichur, wstawały w natchnieniu, przerastały siednie domy i prorokowały pod rozwichrzonym niebem. Potem opadały i gasły nie mogąc dłużej zatrzymać potężnego tchu, który leciał dalej i napełniał cały przestwór zgiełkiem i przerażeniem. I znów inne domy wstawały z krzykiem, w paroksyzmie jasnowidzenia, i zwiastowały. Ogromne buki koło ko ciotka stały z wniesionymi rękami, jak wiadkowie wstrząsanych objawiając, i krzyczały, krzyczały. Dalej, za dachami rynku, widziałem dalekie mury ogniowe, nagie ciany szczytowe przedmiecia. Wspinały się jeden nad drugi i rosły, zeszywniały z przerażenia i osłupiały. Daleki, zimny, czerwony odbłask zabarwiał je pónymi kolorami. Nie jedli my tego dnia obiadu, bo ogień w kuchni

wracał kłębami dymu do izby. W pokojach było zimno i pachniało wiatrem. Około drugiej po południu wybuchł na przedmieściu pożar i rozszerzał się gwałtownie. Matka z Adelą, zaczęły pakować koce, futra i kosztowniejsze. Nadeszła noc. Wichry wzrosły na sile i gwałtowno ci, rozrosły się niepomierne i objęły całą przestawę. Już teraz nie nawiedzały domów i dachów, ale wybudowały nad miastem wielopiętrowy, wielokrotny przestwór, czarny labirynt, rosnący w nieskończonych kondygnacjach. Z tego labiryntu wystrzelały całymimi galeriami pokojów, wyprowadzały piorunem skrzydła i trakty, toczyły z hukiem długie amfilady, a potem dawały się zapadać w wymyślonym piętrem, sklepieniom i kazamatom i wzbijały się jeszcze wyżej, kształtując sam bezformny bezmiar swym natchnieniem. Pokój dźwigał z lekka, obrażył na ścianach brzęczały. Szyby i niży się tęstym odbłaskiem lampy. Firanki na oknie wisiały wzdęte i pełne natchnienia tej burzliwej nocy. Przypomnieli my sobie, że ojca od rana nie widziano. Wczesnym rankiem, domy lali my się, musiały udać się do sklepu, gdzie go zaskoczyła wichura, odcinając mu powrót. --Cały dzień nic nie jadł --biadała matka. Starszy subiekt Teodor podjął się wyprawić noc i wicher, żeby zanieść mu posiłek. Brat mój przyjął, czując się do wyprawy. Okutani w wielkie niedobre futra, obciążeni kieszenie i elazkami i moździerzami, balastem, który miał zapobiec porwaniu ich przez wicher. Ostrożnie otworzono drzwi prowadzące w noc. Zaledwie subiekt i brat mój z wzdętymi płaszczami wkroczyli jedyną nogą, w ciemności noc ich połączyła zaraz na progu domu. Wichry zmyły momentalnie ślad ich wyjścia. Nie widając było przez okno nawet latarki, którą, ze sobą, zabrali. Pochłonęli ich, wicher na chwilę przycichł. Adela z matką, próbowały na nowo rozpalić ogień pod kuchnią. Zapachy gasły, przez drzwiczki dmuchało popiołem i sadzą. Stali my pod drzwiami i nasłuchiwali. W lamentach wicheru dawały się słyszeć wszelkie głosy, perswazje, nawoływania i gawędy. Zdawało się nam, że słyszymy wołanie o pomoc ojca zabitego w wicherze, to znowu, że brat z Teodorem gwarzą, bez troski pod drzwiami. Wrażenie było tak trudne, że Adela otworzyła drzwi i w samej rzeczy ujrzała Teodora i brata mego, wynurzających się z trudem z wicheru, w której tkwili po pachy. Weszli zdyszani do sieni, zaciskając z wysiłkiem drzwi za sobą. Przez chwilę musieli wesprzeć się o odrzwia, tak silnie szturmowały wicher do bramy. Wreszcie zasunęli rygiel i wiatr pognał dalej. Opowiadali bezładnie o nocy, o wicherze. Ich futra, nasiąknięte wiatrem, pachniały teraz powietrzem. Trzepotali powiekami w ciemności; ich oczy, pełne jeszcze nocy, broczyły ciemnością, za każdym uderzeniem powiek. Nie mogli dojść do sklepu, zgubili drogę i ledwo trafili z powrotem. Nie poznawali miasta, wszystkie ulice były jak przestawione. Matka podejrzewała, że kłamali. W istocie cała ta scena sprawiała wrażenie, jakby przez ten kwadrans stali w ciemności pod oknem, nie oddalając się wcale. A może naprawdę nie było już miasta i rynku, a wicher i noc otaczały nasz dom tylko ciemnymi kulisami, pełnymi wycia, wistami i jęków. Może nie było wcale tych ogromnych i żałosnych przestrzeni, które nam wicher sugerował, może nie było wcale tych opłakanych labiryntów, tych wielookiennych traktów i korytarzy, na których grał wicher, jak na długich czarnych fletach. Coraz bardziej umacniało się w nas przekonanie, że cała ta burza była tylko donkiszoterią, nocną, imitującą, na wspaniałej przestrzeni kulis tragiczne bezmiary, kosmiczne, bezdomne sieroctwo wicheru. Coraz częściej otwierały się teraz drzwi sieni i wpuszczały okutego w opończe i szale gościa. Zziębnięty, siedział lub znajomy wywijał się powoli z chustek, płaszczy i wyrzucał z siebie

zdyszany głoŝem opowiadania, urywane bezładne słowa, które fantastycznie powiększały, kłamliwie przesadzały bezmiar nocy. Siedzieli my wszyscy w jasno oświetlonej kuchni. Za ogniskiem kuchennym i czarnym, szerokim okapem komina prowadziło parcie stopni do drzwi strychu. Na tych schodkach siedział starszy subiekt Teodor i nasłuchiwał, jak strych grał od wichru. Słyszał, jak w pauzach wichury miechy i eber strychowych składały się w fałdy i dach wiotczał i zwisał jak ogromne płuca, z których uciekł oddech, to znowu nabierał tchu, nastawiał się palisadami krokwi, rósł jak sklepienia gotyckie, rozprzestrzeniał się lasem belek, pełnym stokrotnego echa, i huczał jak pudło ogromnych basów. Ale potem zapominali my o wichurze, Adela tukała cynamon w dźwięcznym moździerzu. Ciotka Perazja przyszła w odwiedziny. Drobna, ruchliwa i pełna zabiegliwości, z koronką, czarnego szala na głowie, zaczęła krzątać się po kuchni, pomagając Adeli. Adela oskubała koguta. Ciotka Perazja zapaliła pod okapem komina gar papierów i szerokie płatki płomienia wlatywały z nich w czarną, czeluź Adela, trzymając koguta za szyję, uniosła go nad płomień, a żeby opalić nim resztę pierza. Kogut zatrzepotał nagle w ogniu skrzydłami, zapiał i sponiżył. Wtedy ciotka Perazja zaczęła się kłócić, ztorczyła Trzecie, się ze zło ci, wygrażała rękami Adeli i matce. Nie rozumiałem, o co jej chodzi, a ona zaciętrzewiała się coraz bardziej w gniewie i stała się jednym piecem gestykulacji i ztorczyła. Zdawało się, że w paroksyzmie zło ci rozgestykuluje się na czło ci, że rozpadnie się, podzieli, rozbiegnie w sto pajków, rozgałęzi się po podłodze czarnym, migotliwym piecem oszalałych karakonach biegów. Zamiast tego zaczęła raptownie maleć kurczy się, wci, że roztrzęsiona i rozsypująca się przekleństwami. Z nagłą podreptała, zgarbiona i mała, w kącie kuchni, gdzie leżały drwa na opał i, klnąc i kaszląc, zaczęła gorączkowo przebiegać wśród dźwięcznych drewnian, a że znalazła dwie cienkie, żółte drzazgi. Pochwyciła je latającymi ze wzburzenia rękami, przymierzyła do nosa, po czym wspięła się na nie, jak na szczudła, i zaczęła na tych żółtych kulach chodzić stukając po deskach, biegając i z powrotem wzdłuż skośnej linii podłogi, coraz szybciej i szybciej, potem wbiegła na ławkę jodłową, ku tykającym na dudniących deskach, a stamtąd na półkach z talerzami, dźwięcznymi, drewnianymi, półkami obiegając, ciany kuchni, i biegła po niej, kolankując na szczudłowych kulach, by wreszcie gdzieś w kącie, malejąc coraz bardziej, szerniejąc zwin, się jak zwiędły, spalony papier, zetlił się w płatek popiołu, skruszył w proch i w nico. Stali my wszyscy bezradni wobec tej szalejącej furii zło ci, która sama siebie trawiła i pożerała. Z ubolewaniem patrzyli my na smutny przebieg tego paroksyzmu i z pewną ulgą, wróciliśmy do naszych zajęć, gdy żałosny ten proces dobiegł swego naturalnego końca. Adela zadzwoniła znowu moździerzem, tukała cynamon, matka cięgnęła dalej przerwaną rozmowę, a subiekt Teodor, nasłuchując proroczych strychowych, stroił mieszane grymasy, podnosił wysoko brwi i miał się do siebie.

NOC WIELKIEGO SEZONU Każde wie, że w szeregu zwykłych, normalnych lat rodzi niekiedy zdziwczący czas ze swego łona lata inne, lata osobliwe, lata wyrodne, którym – jak szósty, mały palec u ręki – wyrasta kiedy trzynasty, fałszywy miesiąc. Mówimy fałszywy, gdy rzadko dochodzi on do pełnego rozwoju. Jak dzieci póno spłodzone, pozostaje on w tyle ze wzrostem, miesiąc garbusek, odrośl w połowie uwiędła i raczej domylna niż rzeczywista. Winna jest temu starcza niepewność cięgliwość, jego

rozpustna i póna żywotno æBywa czasem, że sierpieæ minie, a stary gruby pieæ lata rodzi z przyzwyczajenia jeszcze dalej, pœdzi ze swego prœchna te dni-dziczki, dni-chwasty, jaŝowe i idiotyczne, dorzuca na dokładkœ, za darmo, dni-kaczany, puste i niejadalne--dni biaŝe, zdziwione i niepotrzebne. Wyrastaj,, one, nieregularne i nierówne, nie wyksztaŝcone i zro niœte z sob,,, jak palce potworkowatej rœki, p,,czkuj,,ce i zwinioœte w figœ. Inni porównywaj,, te dni do apokryfów, wsuniœtych potajemnie miœdzy rozdziaŝy wielkiej ksiœgi roku, do palimpsestów, skrycie wŝ,,czonych pomiœdzy jej stronice, albo do tych biaŝych nie zadrukowanych kartek, na których oczy, nacytane do syta i peŝne tre ci, broczyæanog,, obrazami i gubiaækolory na tych pustych stronicach, coraz bliŝiej i bliŝiej, aŝeby wypocz,,æna ich nico ci, zanim wci,,gniœte zostan,, w labirynty nowych przygód i rozdziaŝów. Ach, ten stary, poŝœkŝy romans roku, ta wielka, rozpadaj,,ca siœ ksiœga kalendarza! Leŝy ona sobie zapomniana gdzie w archiwach czasu, a tre æ jej ro nie dalej miœdzy okładkami, pœcennie bez ustanku od gadulstwa miesioœcy, od szybkiego samorœztwa blagi, od bajania i marzeæ, które siœ w niej mnoŝ,,. Ach, i spisuj,,c te nasze opowiadania, szereguj,,c te historie o moim ojcu na zuŝyтым marginesie jej tekstu, czy nie oddajœ siœ tajnej nadziei, że wrosn,, one kiedy niepostrzeŝenie miœdzy zŝœkŝe kartki tej najwspanialszej, rozsypuj,,cej siœ ksiœgi, że wejd,, w wielki szelest jej stronic, który je pochŝonie? To, o czym tu mówiaœœdziemy, dziaŝo siœ tedy w owym trzynastym, nadliczbowym i niejako faŝszywym miesi,,cu tego roku, na tych kilkunastu pustych kartkach wielkiej kroniki kalendarza. Ranki byŝy podówczas dziwnie cierpkie i orze wiaj,,ce. Po uspokojonym i chŝodniejszym tempie czasu, po nowym caŝkiem zapachu powietrza, po odmiennej konsystencji wiatŝa poznaæbyŝo, że weszŝo siœ w inn,, seriœ dni, w now,, okolicœ Boŝego Roku. Gŝos drŝaŝ pod tymi nowymi niebami d wiœcnie i wieŝo jak w nowym jeszcze i pustym mieszkaniu, peŝnym zapachu lakieru, farb, rzeczy zaczœtych i nie wyprŝowanych. Z dziwnym wzruszeniem prŝowaŝo siœ nowego echa, napoczynaŝo siœ je z ciekawo ci,,, jak w chŝodny i trze wy poranek babkœ do kawy w przeddzieæ podrŝy. Ojciec mŝ siedziaŝ znowu w tylnym kontuarze sklepu, w maŝej, sklepionej izbie, pokratkowanej jak ul w wielokomŝkowe registry i ŝuszcz,,cej siœ bez koæca warstwami papieru, listów i faktur. Z szelestu arkuszy, z nieskoæczonego kartkowania papierów wyrastaŝa kratkowana i pusta egzystencja tego pokoju, z nieustannego przekładania plików odnawiaŝa siœ w powietrzu z niezliczonych nagŝówków firmowych apoteoza w formie miasta fabrycznego, widzianego z lotu ptaka, najeŝonego dymi,,cymi kominami, otoczonego rzœdami medali i uœtego w wywijasy i zakrœty pompaticznych et i Comp. Tam siedziaŝ ojciec, jak w ptaszarni, na wysokim stoŝku, a goŝebniki registry szele ciŝy plikami papierów i wszystkie gniazda i dziuple peŝne byŝy wiergotu cyfr. Gŝ,,b wielkiego sklepu ciemniaŝa i wzbogacaŝa siœ z dnia na dzieæ zapasami sukna, szewiotów, aksamiów i kortów. W ciemnych pŝkach, tych spichrzach i lamusach chŝodnej, pil niowej barwno ci, procentowaŝa stokrotnie ciemna, odstaŝa korowo æzeczy, mnoŝyŝ siœ i syciŝ potœŝny kapitaŝ jesieni. Tam rŝŝ i ciemniaŝ ten kapitaŝ i rozsiadaŝ siœ coraz szerzej na pŝkach, jak na galeriach jakiego wielkiego teatru, uzupeŝniaj,,c siœ jeszcze i pomnaŝaj,,c kaŝdego rana nowymi ŝadunkami towaru, który w skrzyniach i pakach wraz z rannym chŝodem wnosili na nied wiedzich barach stœkaj,,cy, brodaci tragarze w oparach wieŝo ci jesiennej i wŝlki. Subiekci wyŝadowywali te nowe zapasy syc,,cych bŝawatnych kolorów i wypeŝniali

nimi, kitowali starannie wszystkie szpary i luki wysokich szaf. Był to rejestr olbrzymi wszelakich kolorów jesieni, ułożony warstwami, usortowany odcieniami, idący w dół i w górę, jak po dwięczeniach schodach, po gamach wszystkich oktaw barwnych. Zaczynał się u dołu i próbował jękiwie i nie miał altowych spełzł ci i półtonów, przechodził potem do spłowiejących popiołów dali, do gobelinowych błękitów i rosnąc ku górze coraz szerszymi akordami, dochodził do ciemnych granatów, do indyga lasów dalekich i do pluszu parków szumiących, a żeby potem poprzez wszystkie ochry, sangwiny, rudo ci i sepie wej aw szelestny cieś wędnych ogrodów i do jędo ciemnego zapachu grzybów, do tchnienia próchna w gębiach nocy jesiennej i do gęstego akompaniamentu najciemniejszych basów. Ojciec mógł szedł wzdłuż tych arsenałów sukiennej jesieni i uspokajał i uciszał te masy, ich wzbierając, moc, spokojną, potęgę Pory. Chciał jak najdłużej utrzymać całość ci te rezerwy zamagazynowanej barwno ci. Bał się tamawymienia na gotówkę ten fundusz elazny jesieni. Ale wiedział, czuł, że przyjdzie czas i wichur jesienny, pustoszący i ciepły wichur, powieje nad tymi szafami i wtedy puszcza, one i nic nie zdoła powstrzymać wylewu, tych strumieni kolorowo ci, którymi wybuchną na miasto całe. Przychodziła pora Wielkiego Sezonu. Ożywiały się ulice. O szóstej godzinie po południu miasto zakwitało gorączką, domy dostawały wypieków, a ludzie wędrowali ożywieni jakim wewnętrznym ogniem, naszmkowani i ubarwieni jaskrawo, z oczyma błyszczącymi jak, od wędnych, pięknych, i żółtych, febr. Na bocznych uliczkach, w cichych zaułkach, uchodzących już w wieczornym, dzielnicę, miasto było puste. Tylko dzieci bawiły się na placach pod balkonami, bawiły się bez tchu, hałaśliwie i niedorzecznie. Przykładały małe pęcherzyki do ust, a żeby wydmuchać i naindyczyć się nagle jaskrawo w wielkie, gulgotące, rozpluskane narośle albo wykoguciać się w gępi, koguci, maski, czerwone, i piejące, w kolorowe jesiennie maski fantastyczne i absurdalne. Zdawało się, że tak nadciągnie i piejące wzniosło się w powietrze dźwiękami kolorowymi żółcuchami i jak jesiennie klucze ptaków przeciwnie, nad miastem--fantastyczne flotyle z bibułki i pogody jesiennie. Albo woziły się w ród krzyków na małych zgęstnionych wózkach, grających kolorowym turkotem kółek, szprych i dyszli. Wózki zjeżdżały naładowane ich krzykiem i staczały się w dół ulicy aż do nisko rozlanej, żółtej rzeczki wieczornej, gdzie rozpadały się na gruz krzyków, kołków i patyczków. I podczas gdy zabawy dzieci stawały się coraz bardziej hałaśliwe i splątane, wypieki miasta ciemniały i zakwitały purpurą, nagle wiat cały zaczynał wędny, czernieć szybko wydzielał się zeń majaczkliwy zmierzch, którym zarażały się wszystkie rzeczy. Zdradliwie i jadowicie szerzyła się ta zaraza zmierzchu wokoło, szła od rzeczy do rzeczy, a czego dotknęła, to wnet butwiało, czerniało, rozpadało się w próchno. Ludzie uciekali przed zmierzchem w cichym popłochu i naraz dosięgał ich ten trąd, i wysypywał się ciemny wysypk, na czole, i tracili twarze, które odpadały wielkimi, bezkształtnymi plamami, i szli dalej, już bez rysów, bez oczu, gubiąc po drodze maski po masce, tak że zmierzch roił się od tych larw porzuconych, sypiących się za ich ucieczką. Potem zaczynało wszystko zarastać zarną, próchniejąc, korując, żuszcząc, się wielkimi płatami, chorymi strupami ciemno ci. A gdy w dole wszystko rozpręgało się i szło wniwecz w tej cichej zamieszce, w panice przedniego rozkładu, w górze utrzymywał się i rósł coraz wyżej milczący alarm zorzy, drgający wiergotem miliona cichych dzwonek, wzbierających wzlotem miliona cichych skowronków

lec,,cych razem w jedn,, wielk,,, srebrn,, nieskończono æPotem była już nagle noc--wielka noc, rosn,,ca jeszcze podmuchami wiatru, które j,, rozszerzały. W jej wielokrotnym labiryncie wyłupane były gniazda jasne: sklepy--wielkie, kolorowe latarnie, pełne spiętrzonego towaru i zgiełku kupuj,,cych. Przez jasne szyby tych latarni można było ledziągwiekliwy i pełen dziwnego ceremoniału obrzęd zakupów jesiennych. Ta wielka, fałdzista noc jesienna, rosn,,ca cieniami, rozszerzona wiatrami, kryła w swych ciemnych fałdach jasne kieszenie, woreczki z kolorowym drobiazgiem, z pstrym towarem czekoladek, keksów, kolonialnej pstrokaczny. Te budki i kramiki, sklecone z pudełek po cukrach, wytapetowane jaskrawo reklamami czekolad, pełne mydełek, wesołej tandety, złoconych białostek, cynfolii, tr,,bek, andrutów i kolorowych miętówek, były stacjami lekkomy Ino ci, grzechotkami beztroski, rozsianymi na wiszarach ogromnej, labiryntowej, rozłopotanej wiatrami nocy. Wielkie i ciemne tłumy płynęły w ciemno ci, w hała liwym zmieszaniu, w szurgocie tysiący nóg, w gwarze tysiący ust--rojna, spl,,tana wódrówka, ci,,gn,,ca arteriami jesiennego miasta. Tak płynęła ta rzeka, pełna gwaru, ciemnych spojrzeæ, chytrych typniææpokawatkowana rozmow,,, posiekana gawęd,, wielka miazga plotek, miechów i zgiełku. Zdawało się, że to ruszyły tłumami jesiennie, suche makówki sypi,,ce makiem--głowygrzechotki, ludzie-kołatki. Mój ojciec chodził zdenerwowany i kolorowy od wypieków, z błąszczy,,cymi oczyma, w jasno o wietlnym sklepie, i nasłuchiwał. Przez szyby wystawy i portalu dochodził tu z daleka szum miasta, stłumiony gwar płyn,,cej ciżby. Nad cisz,, sklepu płońca jasno lampa naftowa, zwisaj,,ca z wielkiego sklepienia, i wypierała najmniejszy ład cienia z wszystkich szpar i zakamarków. Pusta, wielka podłoga trzaskała w ciszy i liczyła w tym wietle wzdłuż i wszecz swe błąszczy,,ce kwadraty, szachownicę wielkich tafli, które rozmawiały ze sob,, w ciszy trzaskami, odpowiadały sobie to tu, to tam gło nym pęknięciem. Za to sukna leżały ciche, bez głosu, w swej pil niowej puszysto ci i podawały sobie wzdłuż cian spojrzenia za plecami ojca, wymieniały od szafy do szafy ciche znaki porozumiewawcze. Ojciec nasłuchiwał. Jego ucho zdawało się w tej ciszy nocnej wydłużać rozgałęziaæpoza okno: fantastyczny koralowiec, czerwony polip faluj,,cy w mętach nocy. Nasłuchiwał i słyszał. Słyszał z rosn,,cym niepokojem daleki przypływ tłumów, które nadci,,gały. Rozgl,,dał się z przerażeniem po pustym sklepie. Szukał subiektów. Ale ci ciemni i rudzi aniołowie dok,,d odlecieli. Pozostał on sam tylko, w trwodze przed tłumami, które wnet miały zalaæiszCE sklepu pl,,druj,,c,, hała liw,, rzesz,, i rozebraæ między siebie, rozlicytowaæ,, tCE bogat,, jesieæ, od lat zbieran,, w wielkim zacisznym spichlerzu. Gdzie byli subiektci? Gdzie były te urodziwe cheruby, maj,,ce broniazemnych, sukiennych szaców? Ojciec podejrzewał bolesn,, my l,,, że oto grzesz,, gdzie w gębi domu z córami ludzi. Stoj,,c nieruchomy i pełen troski, z błąszczy,,cymi oczyma w jasnej ciszy sklepu, czuł wewnętrznym sęcuchem, co działo się w gębi domu, w tylnych komorach wielkiej kolorowej tej latarni. Dom otwierał się przed nim, izba za izb,, komora za komor,, jak dom z kart, i widział gonitwę subiektów za Adel,, przez wszystkie puste i jasno o wietlone pokoje, schodami na dół, schodami do góry, aż wymknęła się im i wpadła do jasnej kuchni, gdzie zabarykadowała się kuchennym kredensem. Tam stała zdyszana, błąszczy,,ca i rozbawiona, trzepoc,,ca z u miechem wielkimi rzesami. Subiektci chichotali, przykucnięci pode drzwiami. Okno kuchni otwarte było na wielk,, czarn,, noc, pełn,, rojeæ i spl,,tania. Czarne,

uchylone szyby p̄onCĒty refleksem dalekiej iluminacji. B̄yszcz,,ce garnki i butle stāy nieruchomo dokōta i l nīty w ciszy t̄ust,, polew,,. Adela wychylāta ostrōnie przez okno sw,, kolorow,, uszmiokowan,, twarz z trzepocz,,cymi oczyma. Szukāta subiektów na ciemnym podwórze, pewna ich zasadzki. I oto ujrzāta ich, jak wCEdrowali ostrōnie, gCEsiego, po w,,skim gzymisie podokiennym wzdūc̄ ciany piCEtra, czerwonej odblaskiem dalekiej iluminacji, i skradali siCE do okna. Ojciec krzykn,,̄ z gniewu i rozpaczy, ale w tej chwili gwar ḡosów stā siCE cātkiem bliski i nagle jasne okna sklepu zaludnīły siCE bliskimi twarzami, wykrzywionymi miechem, rozgadanyimi twarzami, które p̄aszczȳły nosy na l ni,,cych szybach. Ojciec stā siCE purpurowy ze wzburzenia i wskoczȳł na ladCE. I kiedy t̄um szturmem zdobywāł tCE twierdzCE i wkraczāł hāta liw,, cīb,, do sklepu, ojciec m̄j jednym skokiem wspi,,̄ siCE na p̄tki z sukna i, uwis̄ły wysoko nad t̄umem, d,,̄ z cātej sīty w wielki puzon z rogu i tr,,bīł na alarm. Ale sklepienie nie napēnīło siCE szumem aniōłów, pieszc,,cych na pomoc, a zamiast tego kādemu jCEkowi tr,,by odpowiadāł wielki, roze miany ch̄r t̄umu.--Jakubie, handlowāJakubie, sprzedawāwōłali wszyscy, a wōłanie to, wci,,̄ powtarzane, rytmizowāło siCE w ch̄rze i przechodzīło powoli w melodiCE refrenu, piewan,, przez wszystkie gard̄ta. Wtedy m̄j ojciec dāł za wygran,, zeskoczȳł z wysokiego gzymisu i ruszȳł z krzykiem ku barykadom sukna. Wyolbrzymiony gniewem, z ḡow,, spCEczniāł, w piCE æ purpurow,, wbieḡł, jak walcz,,cy prorok, na szaāce sukienne i j,,̄ przeciwko nim szalāWPierāł siCE cāłym ciātem w potCĒne bale wēny i wywāzāł je z osady, podsuwāł siCE pod ogromne postawy sukna i unosīł je na ladCE z ḡuchym ̄omotem. Bale leciāły rozwijā,c siCE z ̄opotem w powietrzu w ogromne chor,,gwie, p̄tki wybuchāły zewsz,,d wybuchami draperii, wodospadami sukna, jak pod uderzeniem Moj̄eszowej laski. Tak wylewāły siCE zapasy szaf, wymiotowāły gwātownie, p̄ynCĒty szerokimi rzekami. Wyp̄ywāła barwna trē ap̄tek, ros̄ta, mnōȳta siCE i zalewāła wszystkie lady i stōty. ciany sklepu znik̄ły pod potCĒnymi formacjami tej sukiennej kosmogonii, pod tymi pasmami ḡóskimi, piCEtr,,cymi siCE w potCĒnych masywach. Otwierāły siCE szerokie doliny w r̄ól zboczy ḡóskich i w r̄ól szerokiego patosu wȳlyn grzmiāły linie kontynentów. Przestrzē sklepu rozszerzȳła siCE w panoramCE jesiennego krajobrazu, pēn,, jezior i dali, a na tle tej scenerii ojciec wCEdrowāł w r̄ól fād i dolin fantastycznego Kanaanu, wCEdrowāł wielkimi krokami, z rCEkoma rozkrzȳowanymi proroczno w chmurach, i kształtowāł kraj uderzeniami natchnienia. A u dōtu, u st̄óp tego Synaju, wyros̄tego z gniewu ojca, gestykulowāł lud, z̄orzeczȳł i czcīł Baala, i handlowāł. Nabierali pēne rCEce miCEkkich fād, drapowali siCE w kolorowe sukna, owijali siCE w zaimprovizowane domina i p̄aszczce i gadali bez̄adnie a obficie. M̄j ojciec wyrastāł nagle nad tymi grupami kupcz,,cych wyd̄tūonych gniewem, i gromīł z wysoka bāwochwalców potCĒnym s̄łowem. Potem, ponoszony rozpacz,, wspi nā siCE na wysokie galerie szaf, bieḡł ob̄CEdnie po bantach p̄tek, po dudni,,cych deskach ogōoconych rusztowāæ, cigany przez obrazy bezwstydney rozpusty, kt̄ó,, przeczuwāł za plecami w ḡCEbi domu. Subiektci dosiCEgli w̄ta nie ̄elaznego balkonu na wysoko ci okna i wczepieni w balustradCE, pochwycili wp̄d̄ AdelCE i wyci,,gnCEli j,, przez okno, trzepoc,,c,, oczyma i wlok,,c,, za sob,, smuk̄te nogi w jedwabnych pōeczochach. Gdy ojciec m̄j, przerāony ohyd,, grzechu, wrastāł gniewem swych gestów w grozCE krajobrazu, w dole beztroski lud Baala oddawāł siCE wyuzdanej wesōto ci. Jaka parodystyczna pasja, jaka zaraza miechu opanowāła tCE gawied . Jak̄e mōżna bȳło ̄,,dāpowagi od nich, od tego

ludu kołatek i dziadków do orzechów! Jak można było „dać zrozumienia dla wielkich trosk ojca od tych młynków, mielonych bezustannie kolorów, miążg słów! Głusi na gromy proroczego gniewu, przykucali ci handlarze w jedwabnych bekieszach małymi kupkami dookoła sfałdowanych gór materii, rozstraszaj, gadatliwie w ród miechu zalety towaru. Ta czarna giełda roznosiła na swych przednich językach szlachetną substancję krajobrazu, rozdrabniała ją, siekanin, gadania i połykała niemal. Gdzie indziej stały grupy flydów w kolorowych chałatach, w wielkich futrzanych kołpakach przed wysokimi wodospadami jasnych materii. Byli to męźowie Wielkiego Zgromadzenia, dostojni i pełni namaszczenia panowie, gładzi, cy dęgie, pielęgnowane brody i prowadzący wstrzeżenie liwe i dyplomatyczne rozmowy. Ale i w tej ceremonialnej konwersacji, w spojrzeniach, które wymieniali był błąsk u mechanicznej ironii. W ród tych grup przewijał się pospolity lud, bezpostaciowy tłum, gawiedź bez twarzy i indywidualno ci. Wypełniał on niejako luki w krajobrazie, wycierał go dzwonkami i grzechotkami bezmyślnego gadania. Był to element błązający, roztańczony tłum poliszynelów i arlekinów, który--sam bez poważnych intencji handlowych - doprowadzał do absurdu gdzieś nawiązując się transakcje swymi błązającymi figlami. Stopniowo jednak, znudzony błązaniem, wesoły ten ludek rozpraszał się w dalszych okolicach krajobrazu i tam powoli gubił się w ród skalnych załomów i dolin. Prawdopodobnie jeden po drugim zapadał się te wesołki gdzieś w szczeliny i fałdy terenu, jak dzieci zmęczone zabawą, po kątach i zakamarkach mieszkania w noc balow. Tymczasem ojcowie miasta, męźowie Wielkiego Synhedronu, przechadzali się w grupach pełnych powagi i godno ci i prowadzili ciche, gębokie dysputy. Rozszedłszy się po całym, owym wielkim górzystym kraju, wędrowali po dwóch, po trzech na dalekich i krętych drogach. Małe i ciemne ich sylwety zaludniały całą, tę pustynię, wyżynę, nad którą, związało ciężkie i ciemne niebo, sfałdowane i chmurne, porane w dęgie równoległe bruzdy, w srebrne i białe skiby, ukazując w gębi coraz dalsze pokłady swego uwarstwienia. wiałto lampy stwarzało sztuczny dzień w owej krainie--dzień dziwny, dzień bez witu i wieczoru. Ojciec mój uspokajał się powoli. Gniew jego układał się i zastygał w pokładach i warstwach krajobrazu. Siedział teraz na galeriach wysokich półek i patrzył w jesiennej, rozległy kraj. Widział, jak na dalekich jeziorach odbywał się połów ryb. W małych łupinkach łódki siedziały po dwóch rybaków, zapuszczając sieci w wodę. Na brzegach chłopcy dwigali na głowach kosze, pełne trzepocącego się, srebrnego połowu. Wówczas to dostrzegł, jak grupy wędrowców w oddali zadzierały głowy ku niebu, wskazując co wzniesionymi rękami. I wnet zarojło się niebo jak, kolorów, wysypk, osypało się falującymi plamami, które rosły, dojrzewały i wnet napełniły przestworze dziwnym ludem ptaków, kręcących i kołujących w wielkich, kręcących się spiralach. Całe niebo wypełniło się ich wzniosłym lotem, żopotem skrzydeł, majestatycznymi liniami cichych bujań. Niektóre z nich jak ogromne bociany płynęły nieruchomo na spokojnie rozpostartych skrzydłach, inne, podobne do kolorowych pióropuszków, do barbarzyńskich trofeów, trzepotały ciężko i niezgrabnie, a żeby utrzymać się na falach ciepłej aury; inne wreszcie, nieudolne konglomeraty skrzydeł, potężnych nóg i oskubanych szyj, przypominały le wypchane sępy i kondory, z których wysypują się trociny. Były między nimi ptaki dwugłowe, ptaki wieloskrzydłe, były też i kaleki, kulej, w powietrzu jednoskrzydłym, niedoświadczonym lotem. Niebo stało się podobne do starego fresku, pełnego dziwolągów i fantastycznych

zwierząt, które krążyły, wymijały się i znów wracały w kolorowych elipsach. Mój ojciec podniósł się na bantach, obłany nagłym blaskiem, wyciągnął ręce, przyzywał, c ptaki starym zaklęciem. Poznał je, pełen wzruszenia. Było to dalekie, zapomniane potomstwo tej ptasiej generacji, którą Adela rozprężyła na wszystkie strony nieba. Wracało teraz, zwyrodniałe i wybujałe, to sztuczne potomstwo, to zdegenerowane plemię ptasie, zmarniałe wewnątrz. Wystrzelone gupio wzrostem, wyogromnione niedorzecznie, było wewnątrz puste i bez życia. Cała żywotność tych ptaków przeszła w upierzenie, wybujała w fantastycznie. Było to jakby muzeum wycofanych rodzajów, rupieciarnia Raju ptasiego. Niektóre latały na wznosach, miały ciękie, niezgrabne dzioby, podobne do kłosek i zamków, obciążone kolorowymi naroślami, i były lepe. Jakże wzruszył ojca ten powrót niespodziany, jakże zdumiewał się nad instynktem ptasim, nad tym przywiązaniem do Mistra, które wygnany ów ród piastował jak legendę w duszy, a żeby wreszcie po wielu generacjach, w ostatnim dniu przed wygaśnięciem plemienia pociągnął powrotem w pradawną, ojczyznę. Ale te papierowe, lepe ptaki nie mogły już poznać ojca. Na darmo wołał na nie dawnym zaklęciem, zapomnianym, mowa ptasi, nie słyszały go i nie widziały. Nagle zagwizdały kamienie w powietrzu. To wesołki, gupie i bezmyślne plemię, które celowało pociskami w fantastyczne niebo ptasie. Na darmo ojciec ostrzegał, na darmo groził zaklinającymi gestami, nie doszły go, nie dostrzeżono. I ptaki spadały. Ugodzone pociskiem, obwisały ciężko i więdły już w powietrzu. Nim doleciały do ziemi, były już bezformne, kup pierza. W mgnieniu oka pokryła się wyłyna ta, dziwna, fantastyczna, padlina. Zanim ojciec dobiegł do miejsca rzezi, cały ten wietny ród ptasi już leżał martwy, rozciągnięty na skałach. Teraz dopiero, z bliska, mógł ojciec obserwować, lichotę tej zubożałej generacji, całą, mieszną jej tandetnej anatomii. Były to ogromne wiechcie piór, wypchane były jak starym cierwem. U wielu nie można było wyróżnić, gdy patkowata ta część ciała nie nosiła żadnych znamion duszy. Niektóre pokryte były kudłami, zlepionymi, sierściami, jak ubry, i mierziały wstrętnie. Inne przypominały garbate, tyse, zdechłe wielbłądy. Inne wreszcie były najwidoczniej z pewnego rodzaju papieru, puste w środku, a wewnątrz kolorowe na zewnątrz. Niektóre okazywały się z bliska niczym innym jak wielkimi pawimi ogonami, kolorowymi wachlarzami, w które niepojętym sposobem technicznie jako pozór życia. Widziałem smutny powrót mego ojca. Sztuczny dzieje zabarwiał się już powoli kolorami zwyczajnego poranka. W spustoszonej sklepie największe płaki syciły się barwami rannego nieba. Wśród fragmentów zgasłego pejzażu, wśród zburzonych kulis nocnej scenarii--ojciec widział wstających ze snu subiektów. Podnosili się spomiędzy bali sukna i ziewali do słońca. W kuchni, na piętrze, Adela, ciepła od snu i ze zmierzwionymi włosami, meła kawę na młynku, przyciskając go do białej piersi, od której ziarna nabierały blasku i gorąca. Kot mył się w

This file should be named sklep10.txt or sklep10.zip
Corrected EDITIONS of our eBooks get a new NUMBER, sklep11.txt
VERSIONS based on separate sources get new LETTER, sklep10a.txt

Produced by Pawel Sobkowiak--Scanned and proofread by
Polska Biblioteka Internetowa

Project Gutenberg eBooks are often created from several printed editions, all of which are confirmed as Public Domain in the US unless a copyright notice is included. Thus, we usually do not keep eBooks in compliance with any particular paper edition.

We are now trying to release all our eBooks one year in advance of the official release dates, leaving time for better editing. Please be encouraged to tell us about any error or corrections, even years after the official publication date.

Please note neither this listing nor its contents are final til midnight of the last day of the month of any such announcement. The official release date of all Project Gutenberg eBooks is at Midnight, Central Time, of the last day of the stated month. A preliminary version may often be posted for suggestion, comment and editing by those who wish to do so.

Most people start at our Web sites at:

<http://gutenberg.net> or

<http://promo.net/pg>

These Web sites include award-winning information about Project Gutenberg, including how to donate, how to help produce our new eBooks, and how to subscribe to our email newsletter (free!).

Those of you who want to download any eBook before announcement can get to them as follows, and just download by date. This is also a good way to get them instantly upon announcement, as the indexes our cataloguers produce obviously take a while after an announcement goes out in the Project Gutenberg Newsletter.

<http://www.ibiblio.org/gutenberg/etext03> or
<ftp://ftp.ibiblio.org/pub/docs/books/gutenberg/etext03>

Or /etext02, 01, 00, 99, 98, 97, 96, 95, 94, 93, 92, 91 or 90

Just search by the first five letters of the filename you want, as it appears in our Newsletters.

Information about Project Gutenberg (one page)

We produce about two million dollars for each hour we work. The time it takes us, a rather conservative estimate, is fifty hours to get any eBook selected, entered, proofread, edited, copyright

searched and analyzed, the copyright letters written, etc. Our projected audience is one hundred million readers. If the value per text is nominally estimated at one dollar then we produce \$2 million dollars per hour in 2002 as we release over 100 new text files per month: 1240 more eBooks in 2001 for a total of 4000+ We are already on our way to trying for 2000 more eBooks in 2002 If they reach just 1-2% of the world's population then the total will reach over half a trillion eBooks given away by year's end.

The Goal of Project Gutenberg is to Give Away 1 Trillion eBooks!
This is ten thousand titles each to one hundred million readers, which is only about 4% of the present number of computer users.

Here is the briefest record of our progress (* means estimated):

eBooks Year Month

1	1971	July
10	1991	January
100	1994	January
1000	1997	August
1500	1998	October
2000	1999	December
2500	2000	December
3000	2001	November
4000	2001	October/November
6000	2002	December*
9000	2003	November*
10000	2004	January*

The Project Gutenberg Literary Archive Foundation has been created to secure a future for Project Gutenberg into the next millennium.

We need your donations more than ever!

As of February, 2002, contributions are being solicited from people and organizations in: Alabama, Alaska, Arkansas, Connecticut, Delaware, District of Columbia, Florida, Georgia, Hawaii, Illinois, Indiana, Iowa, Kansas, Kentucky, Louisiana, Maine, Massachusetts, Michigan, Mississippi, Missouri, Montana, Nebraska, Nevada, New Hampshire, New Jersey, New Mexico, New York, North Carolina, Ohio, Oklahoma, Oregon, Pennsylvania, Rhode Island, South Carolina, South Dakota, Tennessee, Texas, Utah, Vermont, Virginia, Washington, West Virginia, Wisconsin, and Wyoming.

We have filed in all 50 states now, but these are the only ones that have responded.

As the requirements for other states are met, additions to this list will be made and fund raising will begin in the additional states. Please feel free to ask to check the status of your state.

In answer to various questions we have received on this:

We are constantly working on finishing the paperwork to legally request donations in all 50 states. If your state is not listed and you would like to know if we have added it since the list you have, just ask.

While we cannot solicit donations from people in states where we are not yet registered, we know of no prohibition against accepting donations from donors in these states who approach us with an offer to donate.

International donations are accepted, but we don't know ANYTHING about how to make them tax-deductible, or even if they CAN be made deductible, and don't have the staff to handle it even if there are ways.

Donations by check or money order may be sent to:

Project Gutenberg Literary Archive Foundation
PMB 113
1739 University Ave.
Oxford, MS 38655-4109

Contact us if you want to arrange for a wire transfer or payment method other than by check or money order.

The Project Gutenberg Literary Archive Foundation has been approved by the US Internal Revenue Service as a 501(c)(3) organization with EIN [Employee Identification Number] 64-622154. Donations are tax-deductible to the maximum extent permitted by law. As fund-raising requirements for other states are met, additions to this list will be made and fund-raising will begin in the additional states.

We need your donations more than ever!

You can get up to date donation information online at:

<http://www.gutenberg.net/donation.html>

If you can't reach Project Gutenberg,
you can always email directly to:

Michael S. Hart <hart@pobox.com>

Prof. Hart will answer or forward your message.

We would prefer to send you information by email.

****The Legal Small Print****

(Three Pages)

*****START**THE SMALL PRINT!**FOR PUBLIC DOMAIN EBOOKS**START*****

Why is this "Small Print!" statement here? You know: lawyers.

They tell us you might sue us if there is something wrong with your copy of this eBook, even if you got it for free from someone other than us, and even if what's wrong is not our fault. So, among other things, this "Small Print!" statement disclaims most of our liability to you. It also tells you how you may distribute copies of this eBook if you want to.

***BEFORE!* YOU USE OR READ THIS EBOOK**

By using or reading any part of this PROJECT GUTENBERG-tm eBook, you indicate that you understand, agree to and accept this "Small Print!" statement. If you do not, you can receive a refund of the money (if any) you paid for this eBook by sending a request within 30 days of receiving it to the person you got it from. If you received this eBook on a physical medium (such as a disk), you must return it with your request.

ABOUT PROJECT GUTENBERG-TM EBOOKS

This PROJECT GUTENBERG-tm eBook, like most PROJECT GUTENBERG-tm eBooks, is a "public domain" work distributed by Professor Michael S. Hart through the Project Gutenberg Association (the "Project"). Among other things, this means that no one owns a United States copyright on or for this work, so the Project (and you!) can copy and distribute it in the United States without permission and without paying copyright royalties. Special rules, set forth below, apply if you wish to copy and distribute this eBook under the "PROJECT GUTENBERG" trademark.

Please do not use the "PROJECT GUTENBERG" trademark to market any commercial products without permission.

To create these eBooks, the Project expends considerable efforts to identify, transcribe and proofread public domain works. Despite these efforts, the Project's eBooks and any medium they may be on may contain "Defects". Among other things, Defects may take the form of incomplete, inaccurate or corrupt data, transcription errors, a copyright or other intellectual property infringement, a defective or damaged disk or other eBook medium, a computer virus, or computer codes that damage or cannot be read by your equipment.

LIMITED WARRANTY; DISCLAIMER OF DAMAGES

But for the "Right of Replacement or Refund" described below, [1] Michael Hart and the Foundation (and any other party you may receive this eBook from as a PROJECT GUTENBERG-tm eBook) disclaims all liability to you for damages, costs and expenses, including legal fees, and [2] YOU HAVE NO REMEDIES FOR NEGLIGENCE OR

UNDER STRICT LIABILITY, OR FOR BREACH OF WARRANTY OR CONTRACT, INCLUDING BUT NOT LIMITED TO INDIRECT, CONSEQUENTIAL, PUNITIVE OR INCIDENTAL DAMAGES, EVEN IF YOU GIVE NOTICE OF THE POSSIBILITY OF SUCH DAMAGES.

If you discover a Defect in this eBook within 90 days of receiving it, you can receive a refund of the money (if any) you paid for it by sending an explanatory note within that time to the person you received it from. If you received it on a physical medium, you must return it with your note, and such person may choose to alternatively give you a replacement copy. If you received it electronically, such person may choose to alternatively give you a second opportunity to receive it electronically.

THIS EBOOK IS OTHERWISE PROVIDED TO YOU "AS-IS". NO OTHER WARRANTIES OF ANY KIND, EXPRESS OR IMPLIED, ARE MADE TO YOU AS TO THE EBOOK OR ANY MEDIUM IT MAY BE ON, INCLUDING BUT NOT LIMITED TO WARRANTIES OF MERCHANTABILITY OR FITNESS FOR A PARTICULAR PURPOSE.

Some states do not allow disclaimers of implied warranties or the exclusion or limitation of consequential damages, so the above disclaimers and exclusions may not apply to you, and you may have other legal rights.

INDEMNITY

You will indemnify and hold Michael Hart, the Foundation, and its trustees and agents, and any volunteers associated with the production and distribution of Project Gutenberg-tm texts harmless, from all liability, cost and expense, including legal fees, that arise directly or indirectly from any of the following that you do or cause: [1] distribution of this eBook, [2] alteration, modification, or addition to the eBook, or [3] any Defect.

DISTRIBUTION UNDER "PROJECT GUTENBERG-tm"

You may distribute copies of this eBook electronically, or by disk, book or any other medium if you either delete this "Small Print!" and all other references to Project Gutenberg, or:

[1] Only give exact copies of it. Among other things, this requires that you do not remove, alter or modify the eBook or this "small print!" statement. You may however, if you wish, distribute this eBook in machine readable binary, compressed, mark-up, or proprietary form, including any form resulting from conversion by word processing or hypertext software, but only so long as *EITHER*:

[*] The eBook, when displayed, is clearly readable, and does *not* contain characters other than those

intended by the author of the work, although tilde (~), asterisk (*) and underline (_) characters may be used to convey punctuation intended by the author, and additional characters may be used to indicate hypertext links; OR

[*] The eBook may be readily converted by the reader at no expense into plain ASCII, EBCDIC or equivalent form by the program that displays the eBook (as is the case, for instance, with most word processors); OR

[*] You provide, or agree to also provide on request at no additional cost, fee or expense, a copy of the eBook in its original plain ASCII form (or in EBCDIC or other equivalent proprietary form).

[2] Honor the eBook refund and replacement provisions of this "Small Print!" statement.

[3] Pay a trademark license fee to the Foundation of 20% of the gross profits you derive calculated using the method you already use to calculate your applicable taxes. If you don't derive profits, no royalty is due. Royalties are payable to "Project Gutenberg Literary Archive Foundation" the 60 days following each date you prepare (or were legally required to prepare) your annual (or equivalent periodic) tax return. Please contact us beforehand to let us know your plans and to work out the details.

WHAT IF YOU *WANT* TO SEND MONEY EVEN IF YOU DON'T HAVE TO?

Project Gutenberg is dedicated to increasing the number of public domain and licensed works that can be freely distributed in machine readable form.

The Project gratefully accepts contributions of money, time, public domain materials, or royalty free copyright licenses.

Money should be paid to the:

"Project Gutenberg Literary Archive Foundation."

If you are interested in contributing scanning equipment or software or other items, please contact Michael Hart at: hart@pobox.com

[Portions of this eBook's header and trailer may be reprinted only when distributed free of all fees. Copyright (C) 2001, 2002 by Michael S. Hart. Project Gutenberg is a TradeMark and may not be used in any sales of Project Gutenberg eBooks or other materials be they hardware or software or any other related product without express permission.]

*END THE SMALL PRINT! FOR PUBLIC DOMAIN EBOOKS*Ver.02/11/02*END*

HE SMALL PRINT! FOR PUBLIC DOMAIN EBOOKS*Ver.02/11/02*END*